Historie z Bramy
nr 1

Nimrod Ariav

Redakcja i wydawca
Ośrodek „Brama Grodzka-Teatr NN”

Pomysłodawca
Tomasz Pietrasiewicz

Opracowanie graficzne i układ wnętrza
Alicja Magiera

Skład
Amadeusz Targoński

© Copyright Ośrodek „Brama Grodzka-Teatr NN”

ISBN 978-83-61064-05-3

Druk
Petit Skład–Druk–Oprawa

WSTĘP

Od samego początku istnienia Teatru NN, jego siedzibą stała się Brama Grodzka. To właśnie ta Brama przyniosła nam wiele niezwykłych spotkań z różnymi ludźmi, z ich historiami. Warto w tym miejscu przypomnieć fragment jednego z tekstów opisujących działalność Ośrodka „Brama Grodzka-Teatr NN":

To tu, w Bramie Grodzkiej, zwanej też Bramą Żydowską, będącą dawniej przejściem między miastem chrześcijańskim a miastem żydowskim, próbujemy zrozumieć, co oznacza to miejsce dla nas dzisiaj, jakim jest dla nas przesłaniem.

To tu rozmawiamy o książkach. O poezji. O sztuce. Starając się w zgiełku i chaosie codzienności chronić sens i porządek świata. (...)

To tu, w tym miejscu zawarliśmy wiele przyjaźni, wiele się nauczyliśmy, wiele przeżyliśmy.

To Brama Grodzka dała nam tę piękną podróż.

Bez niej nie wyruszylibyśmy w drogę.

Chcąc ocalić pamięć o tych spotkaniach, postanowiliśmy je opisywać. W ten sposób powstała seria wydawnicza pt. *Historie z Bramy*. Pierwszą publikacją z tej serii jest opowieść o spotkaniu z Nimrodem Ariavem. Poznaliśmy go kilka lat temu dzięki Marianowi Turskiemu, historykowi i dziennikarzowi. Historia ta opisana jest właśnie w tej książce.

Tomasz Pietrasiewicz

Nimrod Ariav.
Fot. Joanna Zętar, 2006.

HISTORIA NIMRODA ARIAVA

Nimrod Szalom Ariav (Szulim Cygielman) urodził się 24.09.1926 w Lublinie. Syn Marty z d. Wajsbrodt i Lejba Cygielmanów. Rodzina ojca wywodzi się z Lublina (dziadek mieszkał przy ul. Kowalskiej), a matki – z Bełżyc. Mieszkał w Lublinie przy ul. Nowej 17. Miał brata-bliźniaka, Abrahama. Obaj uczęszczali do Tarbutu oraz rozpoczęli naukę w Gimnazjum Żydowskim przy ul. Niecałej.

Po wybuchu wojny wyjechał wraz z rodziną do Bełżyc. Pracował tam jako pomocnik w elektrowni. W 1942 r. został zamordowany jego ojciec. Wyjechał do Warszawy, gdzie żył na „aryjskich papierach" (używał nazwiska „Henryk Górski"). Uczył się w Gimnazjum Śniadeckich. Uczestniczył w konspiracji AK. W 1943 r. sprowadził do Warszawy brata. Po kilku miesiącach zostali zadenuncjowani, jego brat zginął. Zmienił nazwisko na „Godlewski". W tym czasie w Warszawie ukrywała się też jego matka. Wziął udział w Powstaniu Warszawskim, prawdopodobnie jako członek batalionu „Parasol" (pseudonim: „Henryk"). Walczył na ul. Siennej i na Starówce, gdzie został ranny. Po upadku powstania dostał się do szpitala w Krakowie,

tam doczekał wyzwolenia. W 1945 r. wrócił na krótko do Lublina. Później wyjechał do Niemiec, studiował na uniwersytecie w Monachium. Uczestniczył w nielegalnym przerzucie Żydów z Niemiec do Włoch. Został komendantem obozu szkoleniowego Hagany we Francji. W 1948 r. wyjechał do Izraela, wstąpił do wojska (służył w lotnictwie). W wojsku spędził 7 lat, opuścił je w randze kapitana. W latach 1954-1973 pracował w izraelskim przedsiębiorstwie lotniczym (Israel Aircraft Industries). Później założył własną firmę lotniczą. Nimrod Ariav po raz pierwszy po wojnie przyjechał do Polski w 1963 r. Od 1987 r. przyjeżdża tu regularnie. Corocznie odwiedza Bełżyce, gdzie odnalazł grób swojego ojca. Doprowadził do odbudowy zdewastowanego kirkutu. Stopniowo włączył się także w życie lokalnej społeczności, wspomógł finansowo szpital i szkoły w Bełżycach. Ma żonę (Francuzkę) oraz dwóch synów.

RELACJA NIMRODA ARIAVA

Rodzina. Dom rodzinny

Urodziłem się w Lublinie 24 września 1926 roku. Moi rodzice nazywali się Marta, z domu Wajsbrodt i Lejb Cygielman. Ojciec był z Lublina, a matka z Bełżyc. Miałem brata, bliźniaka. Mam jedno jego zdjęcie, które teraz trzymam w moim biurze, w Tel Avivie. Ktoś mi je dał. Mieszkałem przy ulicy Nowej. Mieszkanie było dość wygodne. Każdy miał swój pokój.

Mam jedno zdjęcie mojego ojca razem z moją ciotką. Ojciec był bardzo cichym człowiekiem, lubił pisać wiersze. Ale nie był dobrym kupcem. Mama powiedziała mi, że dziadek dwa razy dał ojcu posag. Był wykształconym człowiekiem, dobry był w matematyce, ale jakie miał dokładnie wykształcenie – nie mam pojęcia. Był religijny. Był nie tyle pobożny, co bardzo tradycyjny, a mama – w ogóle nie. Ale zawsze był u nas szabas. Pamiętam, że jak przechodziłem koło kościoła, to powinienem czapkę zdjąć, ale nie wiedziałem dlaczego.

Moja mama była syjonistką. Była bardzo zaangażowana w ruchu syjonistycznym. Uczestniczyła w kongresach syjonistycznych, w Mariensbad, w Karlsbad. Posłała mnie i brata do Tar-

Kamienica przy ul. Nowej 17 w Lublinie, dom rodziny Nimroda Ariava (Szulima Cygielmana).
Kompilacja trzech fotografii. Fot. Stefan Kiełsznia, 1938.

butu. Skończyłem tutaj Tarbut. Tam nauczyłem się hebrajskiego. Kto chodził do Tarbutu? Do Tarbutu chodzili tacy, którzy wierzyli w Izrael.
W domu zasadniczo były używane trzy języki. Rodzice mówili po żydowsku. Ja z moim bratem mówiliśmy po hebrajsku i mieliśmy guwernantkę, Gertrudę, która mówiła do nas po niemiecku. Znałem także język polski – nie za bardzo, ale na tyle wystarczająco, że mogłem wysłowić się po polsku, i nie z żydowskim akcentem. I to mnie uratowało w czasie wojny.

Rodzina ojca

Rodzina dziadka była bardzo religijna. Dziadka pamiętam, jak przychodziłem do bóżnicy w piątek wieczór, razem z ojcem i z bratem, i całowałem jego rękę i uciekałem, bo się bałem. Dziadek siedział w bóżnicy, miał tam swoje miejsce. Dziadek wspierał budowę Jesziwat Chachmej Lublin na Lubartowskiej. On mnie tam raz zabrał, była tam mała makieta świątyni żydowskiej z Jerozolimy. I on mi to pokazał. Mieszkał na Kowalskiej, niedaleko nas, ale rzadko chodziłem do niego. To było duże mieszkanie, ale było tam smutno, czarno – nie było to miejsce, gdzie chciałem przychodzić.

Rodzina matki

Rodzina mamy była bardzo bogata. W Bełżycach mieli duży sklep bławatny. Mama miała trzech czy czterech braci, którzy mieszkali w Siedlcach i jeszcze w dwóch miejscach, i trzy czy cztery siostry. Wszystkie siostry u nas, w Lublinie, rodziły, przyjeżdżały z Bełżyc do naszego mieszkania. Wówczas nie chodziło się do szpitala. I tam był także wujek mojej matki z trojgiem dziećmi.
Rodzina ze strony matki nie była tak bardzo religijna. Dziadek z Bełżyc umarł w Berlinie. Pojechał tam z moim ojcem w 1926 roku, żeby zrobić operację. Umarł i przywieźli jego trumnę

Nimrod Ariav z Tomaszem Pietrasiewiczem na spacerze po lubelskiej Starówce, Lublin ul. Olejna.
Fot. Joanna Zętar 13.02.2006.

Nimrod Ariav w trakcie rozmowy z dziennikarzami.
Fot. Marcin Fedorowicz, 13.02.2006.

ZIEMIA LUBELSKA

KRONIKA MIEJSKA

15

15.000 zł. na odbudowę budynków zniszczonych przez działania wojenne w woj. lubelskim

Kurs Wojewódzkich Inspektorów Starostw

Oszczerca przed sądem

Za rozsiewanie fałszywych wieści spotkała go zasłużona kara

Ujęcie sprawcy ruchwałych napadów rabunkowych

Wielka Zabawa w Kasynie.

Pożar młyna

Depesze telefonogramy

Potworny mord

Zamordowanie 2 Macedończyków na tle walk partyjnych

Walka z przemytnictwem na pograniczu Polska-Litwa

Prawda o katastrofie, której nie było

Oryginalny zapis

RADJO-PROGRAM

KONKURS

„Ziemia Lubelska” 15.01.1931.
Strona 4 z notatką prasową *Oszczerca przed sądem,*
odnoszący się do sprawy pogrzebu dziadka Nimroda Ariava, Wajsbrodta.

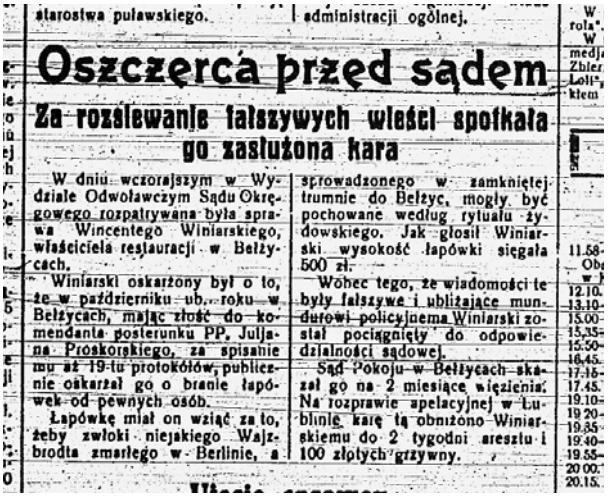

starostwa puławskiego. | administracji ogólnej.

Oszczercá przed sądem

Za rozsiewanie fałszywych wieści spotkała go zasłużona kara

W dniu wczorajszym w Wydziale Odwoławczym Sądu Okręgowego rozpatrywana była sprawa Wincentego Winiarskiego, właściciela restauracji w Bełżycach.

Winiarski oskarżony był o to, że w październiku ub. roku w Bełżycach, mając złość do komendanta posterunku PP. Juljana Proskorskiego, za spisanie mu aż 19-tu protokółów, publicznie oskarżał go o branie łapówek od pewnych osób.

Łapówkę miał on wziąć za to, żeby zwłoki niejakiego Wajzbrodta zmarłego w Berlinie, a sprowadzonego w zamkniętej trumnie do Bełżyc, mogły być pochowane według rytuału żydowskiego. Jak głosił Winiarski wysokość łapówki sięgała 500 zł.

Wobec tego, że wiadomości te były fałszywe i ubliżające mundurowi policyjnemu Winiarski został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

Sąd Pokoju w Bełżycach skazał go na 2 miesiące więzienia. Na rozprawie apelacyjnej w Lublinie karę tą obniżono Winiarskiemu do 2 tygodni aresztu i 100 złotych grzywny.

„Ziemia Lubelska" 15.01.1931, s. 4.

do Bełżyc. Matka mi powiedziała, że jak przywieźli go, a to była sobota, to całe miasteczko nie zapaliło świec, żeby nie było powiedziane, że mój dziadek przyjechał w sobotę. Trumna, w której go przywieźli, była metalowa – to niedozwolone w rytuale żydowskim, więc go wyjęli i pochowali po żydowsku. Po jakichś dziesięciu latach ktoś powiedział o tym i chciano otworzyć grób. Pamiętam, że matka pojechała do Warszawy i jakoś to załatwiła.

Bełżyce przed wojną

Co roku jeździliśmy z naszą guwernantką, Gertrudą, do Nałęczowa na wywczasy. Ona tam z nami mieszkała. Jeździliśmy także do babci, do Bełżyc. Jeździliśmy tam konnymi dyliżansami. To trwało 4-5 godzin – 25 kilometrów.

W Bełżycach był rynek, gdzie sprzedawano raz w tygodniu różne rzeczy, a dookoła były domki. To był prawdziwy żydowski sztetl. W piątek wieczór wszystko tam było zamknięte, bo w miasteczku było 60-70% – jakieś trzy tysiące Żydów. Prawdziwy sztetl, jak to się widzi czasami w kinie. Mój dziadek był tam bardzo prominentny: kiedy przyjechałem 40-50 lat później, jak się przedstawiłem, to mówiłem, że jestem wnukiem Szlamianki, i wszyscy wiedzieli, kto to jest. Do dzisiejszego dnia są ludzie, którzy wiedzą dokładnie, kto to był Szlamianka.

Wybuch wojny w 1939 roku

Zaczęły padać bomby. Byliśmy w piwnicach. Jak do Lublina przyjechali wyrzuceni z Niemiec Żydzi, mieliśmy trzech gości, którzy mieszkali u nas. Jest coś, czego nigdy nie zapomnę. Zanim opuściliśmy Lublin, chodziłem ulicą Lubartowską. Dzisiaj przejeżdżałem tamtędy i mi się przypomniało, że chodziłem wówczas w opasce żydowskiej i trzej z Hitlerjugend (może to i byli Polacy albo Polacy-Niemcy, volksdeutsche) wyrzucili mnie z chodnika: że ja, jako Żyd, nie mogę tamtędy iść, jak oni idą chodnikiem. I mnie zbili porządnie. Od tego czasu zdjąłem tę żydowską opaskę i nigdy jej nie założyłem. Później zaczęło się mówić o tym, że

Dom rodziny Wajsbrodtów (dziadków Nimroda Ariava) w Bełżycach.
Fot. Tomasz Czajkowski, 2008.

Niemcy chcą nas zabić i myśmy postanowili: jedziemy do Bełżyc. Zdaje się, że pojechaliśmy tam w 1940 roku, ale tego nie pamiętam dobrze. Pojechaliśmy całą rodziną: ojciec, matka, mój brat i ja. Była tam cała rodzina matki, a rodzina mojego ojca została tutaj – i oni wszyscy zginęli.

Ci krewni Bełżycach mieli duże mieszkanie i myśmy tam zamieszkali. Wszystko było w porządku. Bawiliśmy się z kuzynami – matka miała młodszego brata, dokuczaliśmy im. Zacząłem pracować, jak miałem czternaście lat. Pracowałem w Bełżycach w elektrowni. Inżynier, który nią kierował, wziął mnie do pracy. Zdaje się, że nie płacił mi niczego, ale pracowałem u niego i czegoś się nauczyłem.

Sytuacja Żydów pod okupacją hitlerowską, Bełżyce

Czuje się zagrożenie. Boimy się naszych sąsiadów polskich. Boimy się Niemców, ale bardziej Polaków niż Niemców. Myśleliśmy, że oni chcą nam wszystko odebrać. Mówiło się o tym. Ja dużo nie słyszałem, bo poszedłem pracować. Chcieliśmy coś zrobić, żeby przeżyć. Niemcy od czasu do czasu przyjeżdżali, zbierało się wtedy pieniądze i dawało im. Raz kupili dla jednego Niemca białego konia. On to wziął i było cicho. A pewnego dnia ktoś powiedział, że będzie akcja i myśmy uciekli. Przestraszyli nas. Nie pamiętam gdzie – albo do Chełma, albo do Zamościa. To był 1940-1941 rok, nie pamiętam dokładnie.

Wyjechał z nami także wujek mojej matki z trójką dzieci. Tam była dziewczyna starsza ode mnie, był chłopak w moim wieku i jeszcze dziewczyna o rok młodsza ode mnie. Podczas jednej akcji ich troje złapali i zabili. Widziałem, jak to się zdarzyło. A gdy wujek mojej matki zobaczył, że ja z bratem zostaliśmy żywi, to chciał nas zabić – naprawdę chciał nas zabić. Ten wujek przeżył wojnę i myśmy dużo o tym rozmawiali. Umarł jakieś 20-30 lat temu. Jak patrzył na mnie, to widział swoje dzieci. Nigdy nie zapomniał, że ja żyję, a jego dzieci nie. Już nie chciał mnie zabić, ale pamiętał dobrze. Jak umierał, był w szpitalu, to tylko mnie

zawołał, prosił, żebym ja przyszedł. Przyszedłem trzy razy i siedziałem u niego, a czwartym razem, jak przyszedłem, on umarł. Trzymał mnie za rękę i mówił do mnie. Jednak zawsze czułem jakąś ambiwalencję – że on nie widzi mnie, tylko swoje dzieci; i do śmierci mi nie podarował. To było moje odczucie.

Później wróciliśmy do Bełżyc. Ojciec powiedział, że nie da im się złapać i przygotował sobie, co zrobi, jeżeli go wezmą. I w 1942 roku jest akcja. Ja uciekłem. Wszyscy uciekli. I wówczas zabili mojego ojca i wzięli kilku z rodziny do Majdanka. Mojego ojca zabili w miejscu, gdzie dzisiaj jest dom kultury, a przedtem synagoga była. To nie byli Niemcy, którzy zabijali. To byli Litwini. Oni byli gorsi niż Niemcy. Oni byli tymi mordercami. Może był jeden Niemiec, a całą robotę zrobili Litwini albo Ukraińcy, byli także z Łotwy i z Estonii. Oni widzieli, że ojciec bierze coś, bo miał truciznę – to mi powiedziała ciotka, która przeżyła wojnę. Wtedy jeden mu powiedział: „Po co to robisz, ja ci pomogę". I zastrzelił go na miejscu. Wówczas zastrzelili jakiś 150 ludzi. Jak Niemcy wyjechali, przyszliśmy z powrotem, było dużo młodych, i wzięliśmy wszystkich zabitych z synagogi na cmentarz żydowski. Rytuał żydowski mówi, że nie wolno pochować tych, którzy zostali zabici tego samego dnia, oddzielnie, tylko w jednym grobie. Pamiętam, że mój ojciec jest pochowany pierwszy z prawej strony. I skończyliśmy to. I wówczas zrobili getto w Bełżycach. Ja byłem w getcie kilka tygodni, ale postanowiłem, że to nie jest miejsce dla mnie. Pojechałem do Warszawy. To był koniec 1942 roku. Później przyjechałem z powrotem po brata.

Wyjazd do Warszawy, 1942

Nie miałem papierów, ani niczego, wyjechałem pociągiem, ale nie z Bełżyc, skąd – nie pamiętam. Wiem, że wysiadłem w Warszawie. Miałem jakiś adres, do kogo się zgłosić. Miałem kogoś, kto mi pomógł z początku. To byli także Żydzi, którzy się ukrywali. Papiery sam robiłem. Przyszedłem do Urzędu Miasta, widziałem, że ktoś w moim wieku umarł, to wziąłem

jego nazwisko, poszedłem do kościoła, poprosiłem o świadectwo chrztu. Miałem nazwisko „Henryk Górski".

Zacząłem chodzić do szkoły Śniadeckich, niedużo się uczyłem. Zacząłem mieć kolegów polskich. Powiedziałem im, że jestem z Lublina, zabito moich rodziców i przyjechałem do Warszawy. Pomagali mi, bo wówczas już byłem w AK. To był 1942 rok. W Warszawie mieszkałem w trzech miejscach – dwa pamiętam, a trzeciego nie. Niektóre rzeczy wyleciały mi z głowy i nie chcą wrócić.

W 1943 roku przyjechałem do Bełżyc po brata. Pamiętam, jak przyjechałem do Warszawy, to widzieliśmy z okna kolei getto żydowskie – dlatego pamiętam, że to był kwiecień, 1943 rok. I brat ze mną, i taki jeszcze nasz znajomy z żoną, mieliśmy mieszkanie przy ulicy Siennej. Oni byli także z Lublina – Rajsowie. Studiowali w Belgii, zanim wojna wybuchła. Ona uchodziła za Francuzkę. Była bardzo piękną kobietą.

Po kilku miesiącach, ktoś powiedział, że tam mieszkają Żydzi. Któregoś dnia przychodzę do domu – dozorca mnie ostrzegł – mówi mi, że jest gestapo, to oczywiście nie wszedłem. Złapali mojego brata i tego gościa, a jego żonę – nie. I zabili ich. Na żandarmerii, na Siennej, nie wiem jaki numer. Zmieniłem mieszkanie i zmieniłem nazwisko na „Jerzy Eugeniusz Godlewski".

Trzeba było żyć z czegoś, to razem z kolegami w Warszawie – nie pamiętam ani jednego nazwiska, oni wszyscy byli starsi ode mnie – robiliśmy coś, handlowaliśmy, byliśmy w AK. Byłem w polskim środowisku, zapomniałem, że jestem Żydem.

Do Warszawy przywiozłem także matkę. Była chowana u Polaków na ulicy Polnej. Nie przypominam sobie, jaki numer. Matka nie żyje już, nie mogę jej zapytać. I matka zaczęła tam z ciotką moją mieszkać. Matka nie wychodziła na zewnątrz, bo nie wyglądała tak dobrze jak ja, bardziej przypominała Żydówkę. Ja nie wyglądałem jak Żyd. Także mój wujek ukrywał się wtedy w Warszawie, po „aryjskiej" stronie. Ale oni płacili dużo pieniędzy za to. Mieli dużo

pieniędzy. Moja matka nie wiedziała, gdzie mieszkam. Ja wiedziałem, gdzie ona mieszka, ale też tam nie przychodziłem. Jak mój brat zginął, bałem się jej o tym powiedzieć i dużo czasu minęło, zanim jej powiedziałem. Ona mi nigdy tego nie zapomniała.

Wspomnienie o Annie Langfus[1]

W tym czasie byłem w szkole, miałem kolegów, byłem w AK i żyłem... I tę panią Rajs znałem. Ta pani przeżyła wojnę, wyjechała do Francji, wyszła za mąż. Ja od czasu do czasu przyjeżdżałem zobaczyć, jak się ma. Ona zaczęła pisać. W 1960 roku napisała książkę, za którą dostała Prix Goncourt. To była Anna Langfus. Anna była bardzo piękną kobietą. Jeżeli ona przeżyła, to to jej pomogło. Raz szła ulicą w Warszawie, a w Warszawie chodziły patrole, 2-4 Niemców. Jeden stanął i mówi: „Anna, ja cię znam, chodziłem razem z tobą do szkoły". Ona na to: „Ty mnie nie znasz, ja nie chodziłam do tej szkoły". Ale wzięli ją i puścili, bo nie mogli udowodnić, że jest inaczej. Mówiła, że jest Francuzką, po francusku mówiła pierwszorzędnie. Później mi powiedziała, że faktycznie chodziła z nim do szkoły. Ten skurczysyn wydał ją, poznał, ale ona wyszła z tego cało. Spotykałem się z nią od czasu do czasu. Raz się spotkaliśmy w Warszawie i widzę, że ktoś za nami idzie, to powiedziałem: „Anna, dojdziemy do rogu, ty na prawo, ja na lewo i uciekamy". I tak zrobiliśmy. Jeden zaczął za mną lecieć, jeden za nią. Chwycił mnie za rękę, a ja mu powiedziałem: „Proszę bardzo, won!". I uciekłem. Anna także uciekła. Później jeszcze spotkaliśmy się kilka razy. A potem, od Powstania – nic. Po wojnie dowiedziałem się, że Anna jest w Paryżu. I wówczas przyjechałem do Paryża, żeby ją zobaczyć. Była smutna. Poznała jakiegoś gościa.

[1] Anna Langfus (1920-1966) ur. w Lublinie, ocalała z Holocaustu; po wojnie pisarka francuska, autorka autobiograficznej powieści *Skazana na życie*, laureatka Nagrody Goncourtów za *Baże z Piasku* (1962). Więcej na stronie www.langfus.tnn.pl

On był inżynierem. Nazywał się Langfus. Wyszła za mąż, miała syna. Zaprosiłem ją, żeby przyjechała do Izraela – przyjechała raz, nie chciała więcej. Słyszałem o tym, że dostała Prix Goncourt. Prosiła mnie, żebym czytał jej książki. Nie mogłem, nie chciałem.

Kiedyś byłem na kolacji w Londynie. Siedzi koło mnie kobieta. Młoda. Bardzo ładna. Rozmawiamy i ona mówi, że chodzi na uniwersytet i studiuje Holocaust. Powiedziałem jej: „Słuchaj, zrób mi przysługę. Była pani Langfus. Ona otrzymała Prix Goncourt. Ja nie wiem, za jaką książkę. Zawsze chciała, żebym ją przeczytał. Znajdź mi, co to jest". Dwa miesiące później ona dzwoni: „Pani Langfus dostała Prix Goncourt w 1960 [1962] roku, książka została przetłumaczona na angielski w tym i tym roku, pod tym numerem możesz ją dostać".

20 lat później, jakieś 10 lat temu, dzwoni do mnie gość z Izraela, chce się spotkać w Paryżu, pokaże mi kilka obrazów. W porządku, ja się spotkam, będę siedział w hotelu „Crion" z *Herald Tribune*. Przychodzi gość, mówi po hebrajsku, dużo młodszy ode mnie. Jeżeli ja miałem wówczas 60 lat, to on może miał czterdzieści kilka. I jedziemy oglądać. Pojechaliśmy do jednego, drugiego, trzeciego miejsca – nic mi się nie podobało. Powiedziałem mu: „Słuchaj pan, miałem znajomą, dostarcz mi tę książkę albo po francusku, albo po angielsku". „Co powiedziałeś? Jakie nazwisko?" To ja mówię: „Anna Langfus". Gość zrobił się biały, zaczął drżeć: „Skąd ty do pani Langfus?" Powiedziałem: „A skąd ty do pani Langfus? Ty nie masz tyle lat. Pani Langfus była starsza ode mnie, to skąd ty?" I trwało kilka minut, zanim się uspokoił, później opowiedział mi swoją historię. On był studentem w Paryżu. Anna opuściła męża, opuściła syna, opuściła wszystko. I umarła na jego rękach. Ja o mało nie dostałem ataku serca, jak on mi powiedział tę historię, że ona umarła. On był biały, jak ja powiedziałem: „Anna. Nie do uwierzenia". Przysłał mi książkę, którą Anna Langfus mu podpisała.

Powstanie w getcie warszawskim

Patrzyłem na to z drugiej strony. Co czułem? Nie pamiętam. Patrzyłem dobrze, bo ja dokładnie wiedziałem, kim jestem. Możliwe, że nie mówiłem o tym i chciałem zapomnieć, ale wiedziałem dokładnie, kim jestem. Co mogłem czuć? Jak reagowali Polacy? Smutno. Widziało się, że to ich bolało. Wśród tych, którzy stali ze mną i patrzyli, nie widziałem nikogo, kto by się cieszył.

Opowiem historię, której nigdy nie zapomnę. Jesteśmy u kolegów i pijemy. Ja byłem może najmłodszy, miałem 18-19 lat, a wyglądałem na dwadzieścia kilka. I siedzi na moich kolanach dziewczyna, wszyscy byli dobrze pijani. W pewnej chwili ta dziewczyna mówi mi: „Henryk, wiesz, gdybym nie znała ciebie i twoich kolegów, ja bym powiedziała, że ty jesteś Żydem". Otworzyłem oczy: „Dlaczego?" I tej odpowiedzi nie zapomnę: „Coś w twoich oczach". Później myślałem: ona była Żydówką, stuprocentowo była. Moje oczy mnie omal nie wydały, ale nic... Zaczęliśmy pić razem, wszystko potoczyło się normalnie.

Powstanie Warszawskie

Byłem w Szkole Podchorążych w Warszawie. Podczas powstania byłem na Siennej, później walczyłem na Starówce, gdzie zostałem ranny. Wzięli mnie do jakiejś piwnicy, gdzie był szpital. Miałem rękę i obydwie nogi przestrzelone. Moi koledzy przychodzili codziennie. Lekarzy tam nie było dużo. Leżałem z kimś, kto umarł i dwa dni tam leżał – nie było nikogo, żeby go zabrać. I wówczas, jak trzeba było opuścić szpital, moi koledzy przynieśli buty duże, owinęli wszystko bandażami i – nie wolno było rannych wziąć, ale oni sobie dali radę – znieśli mnie do kanałów. Chodziliśmy cztery i pół godziny. I ja, z tymi nogami, chodziłem. Wyjść nie mogłem. Trzeba było mnie wyciągnąć. Wtedy dostałem drugi raz, w głowę, i wzięli mnie do jakiegoś szpitala na Polnej. Nie mogłem ruszyć głową jakieś 3-4 miesiące. Myśleli, że nie będę w ogóle ruszać głową. Ale najgorsze było, że trzeba było wyciąć te moje włosy. Miałem

BĄDŹ CZŁOWIEKIEM

Jest Żydem pochodzącym z Lublina. Jako żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim. Mimo odniesionych ran przeżył. Wyjechał do Izraela, gdzie był lotniklem. Potem jednym z dyrektorów największej izraelskiej fabryki samolotów. Po latach przyjechał do Polski i zbudował w Bełżycach kirkut. Jest tu co roku w listopadzie. Razem z rodziną staje nad grobem ojca, którego zamordowali hitlerowcy

Nazywam się Nimrod S. Ariav Cygielman. Mieszkając w Warszawie nazywałem się Henryk Górski i Jerzy Eugeniusz Godlewski. A przyjaciele mówią mi Cygi – tymi słowami przedstawia się człowiek, którego historia życia jest jak scenariusz filmu.

Lublin przedwojenny

Nimrod Ariav urodził się w 1926 r. w Lublinie. Przez 13 lat mieszkał z rodzicami i bratem bliźniakiem przy ul. Nowej (dziś odcinek ulicy Lubartowskiej). Tutaj chodził do Tarbutu, czyli żydowskiego gimnazjum, gdzie nauczył się języka hebrajskiego.

– Dziadek zawsze siedział na swoim miejscu w bożnicy. Przychodziłem tam w piątkowy wieczór, całowałem w rękę i uciekałem, bo nie lubiłem – opowiada **Nimrod**. – Dziadek był jednym z budowniczych Jesziwat Chachmej Lublin, na Lubartowskiej. Dobrze to pamiętam, bo raz mnie tam zabrał i pokazał makietę świątyni żydowskiej z Jerozolimy.

W 1940 r. Nimrod z rodziną wyjeżdża do Bełżyc. – Ostatnie wspomnienie z Lublina: tuż przed naszym wyjazdem idę ul. Lubartowską w opasce żydowskiej. Trzech Hitlerjugend staje mi na drodze. Mówią, że ja jako Żyd nie mogę tędy chodzić. Zbili mnie porządnie. Wtedy zdjąłem tą opaskę. I nigdy już jej nie włożyłem.

W Bełżycach mieszkała rodzina ze strony matki. Jej ojciec był postacią znaną i poważanie szanowaną. Jeszcze w latach 80. ludzie dobrze pamiętali Szlamsiankа. Ale historia dogania Nimroda w 1942: w Bełżycach powstaje getto, a ojciec Ariava ginie, zabity przez Niemców. Sam Ariav ucieka do Warszawy.

Powstanie

Tu nie chce żyć jak Żyd. Zdobywa dokumenty i przyjmuje nazwisko Henryk Górski. Nikt oprócz niego nie wie, że jest Żydem. Nawet koledzy z Armii Krajowej, do której wstąpił zaraz po przyjeździe.

Kiedy w getcie wybucha powstanie, Henryk Górski jest po drugiej stronie muru.

– Wtedy nie wiedziałem co robić. Byłem zupełnie bezsilny – wspomina tamte chwile. Dziś, patrząc na Nimroda, nikt by nie pomyślał o bezsilności. Mimo wieku wciąż dobrze się trzyma. Widać, że to silny człowiek. Taki był podczas Powstania Warszawskiego. – Chwyciłem za broń. Walczyłem na Starówce i tu zostałem postrzelony.

Kiedy trafia do szpitala, Niemcy wkraczają do Warszawy. – Trzeba było mnie uzyć. Zawołałem młodego lekarza i mówię mu: „Ja jestem Żydem, jak mnie umyją sanitariusze, zobaczą, że jestem prezesięty (obrzezany – red.) i doniosą Niemcom – wspomina Nimrod. – Nawet nie pomalem nazwiska człowieka, który uratował mi życie. Umył mnie i zaprowadził do pociągu.

Z Warszawy do Krakowa.

W tamtejszym szpitalu zostaje uwolniony przez Rosjan.

Po wojnie odnajduje matkę i razem z nią wyjeżdża do Lodzi.

Komendant

Powojenna zawierucha rzuca Nimroda do Monachium, ale stare nawyki zostają. Owszem, Nimrod studiuje, ale działa też w Hagganie; tajnej żydowskiej organizacji bojowej.

W 1948 Hagana organizuje obóz szkoleniowy dla ludzi, którzy pojadą do Izraela. – Byłem komendantem tego obozu i zacząłem na nowo mówić po hebrajsku – Nimrod nie ukrywa dumy. W końcu sam trafia do Izraela. Po zejściu ze statku zaciąga się do wojska. Będzie lotnikiem.

Szkoli się w Ameryce, w szkole oficerskiej i jako mechanik. Po siedmiu latach opuszcza wojsko w randze kapitana. I to jest dopiero prawdziwe postępowanie z bronią. Czas na zwykłe życie, czyli... produkcję samolotów w Israel Aircraft Industries. – Pracowali u mnie inżynierowie z Sorbony, Oxfordu i Politechniki Warszawskiej. I każdy z nich twierdził, że jest najlepszy. Cóż, nie było łatwo z Żydów z całego stworzyć zgrany zespół – śmieje się nasz bohater.

Powrót

Nową, ludową już, Polskę Nimrod Ariav poznał dopiero w 1963 r. Był tylko tydzień, bez skutku szukał grobu ojca w Bełżycach.

Potem, jak większość Żydów, którym udało się przetrwać koszmar zagłady, wolał o tym wszystkim zapomnieć. – Dopiero 42 lata po wojnie po raz pierwszy rozmawiałem z synami o wszystkim, co przeżyłem. Przyjechaliśmy do Polski, pokazałem im, gdzie są moje korzenie. Pojechaliśmy na Majdanek, do Oświęcimia...

Do Bełżyc. Szukać grobu ojca. – Poszedłem do burmistrza, a on mówi: chodź, to ci pokażę. Idziemy, patrzę, a tu plac zabaw. Nie było żadnej macewy, niczego – mówi Nimrod. – Chciałem jakoś upamiętnić to miejsce.

Nimrod S. Ariav Cygielman otrzymał pozwolenie na budowę kirkutu.

Spotkanie

Anna Raja-Langfus to żydowska pisarka pochodząca z Lublina, która w 1961 r. otrzymała prestiżową francuską nagrodę Prix Goncourt. Wciąż wydawana za Zachodzie, w Polsce jest kompletnie zapomniana. Ostatnio jej książkę wydano u nas w... 1962 roku.

Nimrod poznał ją jeszcze w czasie wojny; w Warszawie. – Wspólnie z Anną, jej mężem i moim bratem mieszkaliśmy przez kilka miesięcy przy ul. Siennej. Mój brat i jej mąż zostali złapani i zabici przez Niemców. Po tym zdarzeniu zmieniłem mieszkanie i nazwisko. Zostałem Jerzym Eugeniuszem Godlewskim – wspomina.

Po latach poznał w Paryżu kolekcjonera obrazów. Przez przypadek dowiedział się, że mężczyzna także znał Annę Langfus. – Umarła na jego rękach. O mało nie dostałem ataku serca, kiedy mi to powiedział. Potem przysłał mi książkę, którą Anna podpisała dla niego.

Człowiek

Co roku, od 16 lat, Nimrod Ariav razem z rodziną przyjeżdża w listopadzie do Bełżyc. W ciszy składa kwiaty na grobie ojca. – Przeszedłem, co przeszedłem. Czy to dobrze, czy niedobre, nie wiem. Nie mogę powiedzieć młodym ludziom co robić. Jedną rzecz tylko mogę powiedzieć: daj część z siebie innym, ludziom innej wiary, ludziom innej krwi – spokojnie tłumaczy Nimrod. – Bądź człowiekiem.

Paweł Buczkowski

Dziękuje za pomoc Tomaszowi Czajkowskiemu z Ośrodka Brama Grodzka Teatr NN

„Dziennik Wschodni" 17.02.2006,
Artykuł *Bądź człowiekiem*, Paweł Buczkowski.

dużo włosów. Jak je usuwali, to nie mieli dla mnie żadnego znieczulenia – kilka razy byłem nieprzytomny, cała skóra zeszła. Ponieważ moja matka była na Polnej, jakoś ją zawiadomiłem i przyszła zobaczyć mnie w szpitalu. Nawet nie rozmawialiśmy, ona tylko popatrzyła na mnie, nie doszła do mnie. Szpital miał opuścić Warszawę. Trzeba było mnie umyć, a ja miałem obie nogi w gipsach, obie ręce w gipsach. Zawołałem młodego lekarza i powiedziałem mu: „Panie lekarzu, pan widzi, z której ja jednostki jestem, bo koledzy przychodzili. Ja jestem Żydem, trzeba mnie umyć – jak mnie umyją sanitariusze, zobaczą, że jestem przecięty, powiedzą Niemcom. Zrób pan, co pan chcesz. Ja nie mogę nawet ręki podnieść". Nawet nie znam jego nazwiska. On mnie sam umył i przeprowadził do pociągu. I jeżeli ja żyję, to jemu to zawdzięczam. Wzięli mnie pociągiem do Krakowa i tam wsadzili do szpitala. Byłem tam razem z kolegami, którzy także zostali zranieni. I w Krakowie zostałem uwolniony przez Rosjan. Mam zdjęcia z tego szpitala w Krakowie, ale żadnego nazwiska moich kolegów z Powstania Warszawskiego nie pamiętam. Tak jak nie pamiętam, gdzie zostałem ranny na Starówce. Chcę znaleźć to miejsce i nie mogę. Przeszedłem Starówkę może z pięćdziesiąt razy. Są rzeczy, które wychodzą z głowy i nie chcą wrócić.

Koniec wojny. Lublin, Łódź

Po pół roku, jak mogłem już zacząć chodzić, postanowiłem szukać, kto został z rodziny. Pomyślałem, że muszę pojechać do Lublina, żeby kogoś znaleźć. I pojechałem pociągiem towarowym do Lublina. W Lublinie poszedłem do gminy i oni mi powiedzieli, że moja matka żyje. To był 1945 rok. I wówczas spotkałem matkę, ciotkę i tego wujka. Oni przeżyli. Byłem tydzień z nimi i uciekłem, bo byłem w środowisku Żydów, a nie chciałem w nim być. Nie wiem dlaczego. Jak na to patrzę dzisiaj, to głupstwo, ale tak było. Uciekłem do Łodzi i byłem tam przez pewien czas. Moja matka wyszła wtedy w Łodzi za mąż. I miałem kolegów z Warszawy, którzy także byli w Łodzi. Pewnego dnia zaprosiłem ich do domu, zobaczyli

moją matkę, powiedzieli, że ona musi być Żydówką: „Co, ty jesteś Żydem?". Powiedziałem: „Tak". To już nie było to samo koleżeństwo. Postanowiłem, że to nie jest moje miejsce i pod koniec 1945 roku opuściłem Polskę.

Wyjazd z Polski. Niemcy, Francja

Wyjechałem w ubraniu UNRRY do Niemiec. Byłem tam w obozie dla przesiedleńców. Do Polski wróciłem jeszcze raz, na początku 1946 roku, w mundurze UNRRY, żeby odebrać dziecko ciotki i wujka, które dali na przechowanie chłopom z Bełżyc. Nie chcieli tej dziewczynki zwrócić. Kochali ją. Jak ją dostali, miała 3-4 lata. Kiedy po nią przyjechałem, już miała jakieś 8-9 lat i nie chcieli jej zwrócić, ale zabraliśmy ją przy pomocy pieniędzy. Ona sama nie chciała wyjeżdżać, z nią było więcej problemów. Później wyjechała do Izraela i teraz od czasu do czasu przyjeżdża z nami do Bełżyc, jej dzieci przyjeżdżają. W zeszłym roku była tu z wnuczką. Zabraliśmy ją i znowu pojechaliśmy do Niemiec, przez „zieloną granicę". I wówczas do Izraela wyjechała moja matka, z drugim mężem. Nie miała dzieci innych. Moja matka była bardzo przedsiębiorczą kobietą, bardzo dobrze jej było. Pracowała – miała pieniądze, wszystko miała, co trzeba, ale serce nie wytrzymało. Umarła w Izraelu w 1969 roku. Nie zapomniała nigdy swojego drugiego syna. Były trzy godziny różnicy między nami. To jest dużo.

A ja postanowiłem zostać jeszcze w Niemczech i zacząć coś studiować. Zapisałem się na uniwersytet w Monachium. Wówczas do pracy zaangażowały mnie podziemne żydowskie organizacje. W dwóch byłem – w Haganie i w drugiej. Jak w jednej nie było dużo akcji, to przeszedłem do drugiej. Nie obchodziło mnie to, że jedna jest prawicowa, a druga lewicowa. Pomału zrozumiałem, że jest takie miejsce, do którego muszę pewnego dnia pojechać. To jest Izrael. Pracowałem przeprowadzając Żydów z Niemiec do Włoch przez zieloną granicę. Byłem we Francji, koło Marsylii. Tam Hagana zorganizowała obóz szkoleniowy dla ludzi,

którzy jechali do Izraela. Byłem komendantem tego obozu. Zacząłem znowu mówić po hebrajsku. To ci chłopcy myśleli, że jestem z Izraela.

Wyjazd do Izraela

Jak wybuchła wojna w Izraelu, to pojechałem tam. Trafiłem prosto do wojska. To był 1948 rok. Wzięli mnie do lotnictwa. W 1949 roku lotnictwo posłało mnie do szkoły do Ameryki. Byłem tam dwa lata. Wróciłem i pracowałem przy samolotach jako mechanik. Przeszedłem wszystkie rangi, od najniższej. Później posłali mnie do szkoły oficerskiej. W wojsku służyłem siedem lat. Opuściłem je w randze kapitana. Zacząłem pracować w Israel Aircraft Industries. Pracowałem tam od 1954 do 1973 roku. Ale jak przyjęli mnie do pracy, to powiedziałem prezesowi IAI, że będę siedział na jego miejscu – i siedziałem na jego miejscu. On dzisiaj ma 87 lat – ja mu to wspomniałem i on to pamięta. W IAI odpowiadałem za produkcję samolotów. Kilka razy byłem w Stanach i we Francji, uczyłem się jeszcze.

Odszedłem stamtąd jako *senior vice president manufacturer*. Miałem wtedy 48 lat. Wraz z kolegami zbudowaliśmy prywatną firmę, z oddziałami na całym świecie: USA, Wielka Brytania, Szwajcaria. Sprzedawaliśmy cywilne samoloty. I tym się zajmowałem zasadniczo do czasu, kiedy wyjechałem z Izraela w 1987 roku, żeby mieszkać w Londynie, bo tak było mi łatwiej pracować. Ale w Izraelu byłem kilka razy do roku, bo zostały tam dzieci.

Dzieci i wnuki

Dwóch synów mam. Jeden się urodził w 1958, a drugi w 1964 roku. Obydwaj są obywatelami francuskimi, bo ich matka jest Francuzką, a także izraelskimi. Jak trzeba było pójść do wojska, zawołał ich w Izraelu attaché wojskowy francuski i pyta: „Gdzie chcecie służyć?" Powiedzieli: „W Izraelu". Jeden służył w marynarce, a drugi w czołgach. Dlaczego? Bo ja byłem w lotnictwie. Chciałem, żeby i oni byli w lotnictwie. Nie udało mi się. Po wojsku uczyli

się, jeden i drugi. Starszy pojechał do Ameryki i tam się uczył 10 lat. Ukończył 4 fakultety w Los Angeles, w Stanford, z dziedzin: informatyka, finanse, marketing. A drugi po wojsku poleciał do Australii. Później uczył się w Stanach. Pracował w Hollywood i w Nowym Jorku. Postanowił wrócić do Izraela. Podobnie starszy syn. Obaj wrócili do Izraela. Młodszy ożenił się za pierwszym razem ze Słowianką, ale rozwiedli się po kilku latach, nie było dzieci. I teraz się ożenił z Polką, Agatą. A drugi się ożenił w Izraelu. Mam troje wnucząt. Wnuczka jest w tej chwili w lotnictwie izraelskim, drugi chłopak w przyszłym roku idzie do wojska, a trzeci będzie miał *bar micwę* w przyszłym roku. A ja będę miał w przyszłym roku 80 lat.

Polska i język polski

Odciąłem się od języka polskiego, nie chciałem nic mieć z przeszłości. Nie mówiłem po polsku słowa, odkąd opuściłem Polskę. Żona jest Francuzką, kolegów nie miałem z Polski, bo jak się ma kolegów z Polski, mówi się po polsku – a ja nie chciałem. Mówiłem po hebrajsku.

Pierwszy raz przyleciałem do Polski w 1963 roku. Polska dała nam wtedy do naprawy samoloty, miała zachodnie samoloty i myśmy to robili dla nich. Więc przyleciałem do Polski kupić maszyny. Spędziłem tutaj tydzień, nieprzyjemny tydzień, bo chciałem także zobaczyć grób mojego ojca. I przyjechałem do Bełżyc. Wówczas był sołtys, przyszedłem do sołtysa, powiedziałem, że jestem wnukiem Szlamiarki. Wiedział dokładnie, o kogo chodzi, i bał się, że przyjechałem odebrać im to, co należy do mojego dziadka. To powiedział mi, że nie ma tutaj żadnego grobu, i to wszystko – wyrzucił mnie. To był 1963 rok. Do 1987 roku nie wiedziałem, co to Polska. Nie mówiłem po polsku nic. W 1987 roku, jak już byłem na własnym, nie pracowałem w IAI, prezes IAI, który był moim dobrym kolegą, zadzwonił do mnie do Nowego Jorku, żebym przyleciał na kolację z kimś, kim będę zainteresowany. Wziąłem samolot i przyleciałem. Kolacja była z prezesem PZL-u, panem Krężlewiczem. Przyszedłem na tę kolację, nie mówiłem słowa po polsku. I po dwóch butelkach wódki, zacząłem mówić

po polsku. On mnie zaprosił do Polski. Mówiłem mu: „Ja mam paszport izraelski" – wówczas Polska nie miała z Izraelem stosunków dyplomatycznych. „Ja cię przyjmę". „Dobrze". Przyleciałem. Czekał na mnie na lotnisku. Chciał mi pokazać, co oni robią. Wydał dla mnie kolację w Łazienkach. I wtedy pierwszy raz postanowiłem powiedzieć kilka słów po polsku, przygotowałem się trochę. Ja sobie wówczas przypomniałem Asnyka, powiedziałem: „A z nie uwiędłych laurów liść z uporem stroić głowę...". Wstał młody inżynier, bo tam byli wszyscy inżynierzy z PZL-u, i dokończył to. Zacząłem trochę mówić po polsku. I wówczas prosiłem go, żeby dał mi kierowcę, bo chcę szukać grobu mojego ojca. Nie znalazłem. Jakieś pięć razy przyjeżdżałem do Polski – nie znalazłem.

Poszukiwania grobu ojca w Bełżycach, odbudowa cmentarza

W 1988 roku postanowiłem, że moi synowie powinni wiedzieć, co tu się działo. Nigdy w domu nie mówiliśmy o tym, nie chciałem o tym mówić. Oni wówczas obydwaj studiowali w Kalifornii, przywiozłem ich stamtąd do Warszawy. Pojechałem z nimi we wszystkie te miejsca: do Oświęcimia, na Majdanek – wszędzie byliśmy. I wówczas, pod koniec, mówię: „Dobrze, jedziemy teraz szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem". Pojechaliśmy do Bełżyc, kręcimy się – nic. To powiedzieli: „Dlaczego się nie zapytasz?". Za dumny byłem, żeby spytać kogoś. Wykręcili mi rękę, poszedłem do burmistrza miasta. Powiedziałem: „Panie burmistrzu, jestem wnukiem Szlamianki". I pan burmistrz wiedział dokładnie, kim ja jestem. Gdybym powiedział: „Jestem Ariav-Cygielman", nikt by nie wiedział. Wnuk Szlamianki – wiedział doskonale. On był bardzo porządny, bardzo przyjemny chłop. Powiedziałem mu: „Przyjechałem z synami szukać grobu mojego ojca, gdzie go pochowałem, i ja go nie mogę znaleźć". On patrzy na mnie, mówi: „Choć pan ze mną, ja panu pokażę". O mało nie dostałem ataku serca. Jedziemy w to miejsce, gdzie my cały czas się kręcimy. A co tam jest? Tam jest miejsce, gdzie się młodzież bawi, i drzewa są. Mówi mi: „To

Ja, Ariav od kirkutu

Ja sam odbudowałem ten kirkut, ja sam dbam o niego. Kiedy umrę, będą to robić moi synowie – powie dziś w Bełżycach Nimrod S. Ariav-Cygielman

Nimrod S. Ariav-Cygielman, niegdyś wysoki rangą izraelski pilot wojskowy, dyrektor izraelskiej fabryki samolotów i „handlarz" boeingami, od 13 lat w październiku przyjeżdża do Bełżyc. Stąd pochodziła jego rodzina.

– Uratowałem się, bo nie byłem podobny do Żyda – wspomina. Polacy traktowali go jak swego. Walczył i był ranny w Powstaniu Warszawskim. Wyjechał, budował Izrael. Życiorys dosłownie filmowy!

Po wielu latach postanowił odnaleźć grób swego ojca, którego – rozstrzelanego przez Niemców w 1942 r. – sam potajemnie pochował. Jednak w Bełżycach po kirkucie nie pozostało prawie nic. Zarósł wysokimi topolami. Nimrod S. Ariav-Cygielman zapłacił za ogrodzenie terenu, ufundował tablice upamiętniające bełżyckich Żydów i płaci za utrzymanie monumentu. – Tak będzie do końca mojego życia – zapowiada.

Przy wejściu, na ścianie muru jego twórca stworzył reliefową rzeźbę: drzewo przypominające menorę, najpiękniejszę tego rodzaju dzieło cmentarne w Polsce.

Od 1990 r. w rocznicę śmierci ojca na bełżycki kirkut Ariav przywozi Żydów z całego świata, aby pokazać tę dbałość o pamięć przeszłości. Ponieważ wciąż wiele kirkutów i miejsc po nich w Polsce nie ma swoich opiekunów. Przywozi nie byle kogo: wielkich przedsiębiorców i polityków. W ubiegłym roku był wśród nich np. Mosze Arens, wielokrotny minister obrony i spraw zagranicznych Izraela.

Ariav kupuje świece i kwiaty, by goście mogli złożyć hołd zamordowanym w październiku 1942 r. – najpierw przy kamieniu upamiętniającym getto w Bełżycach, potem na kirkucie. Dla bełżyckiego szpitala kupił aparat rentgenowski i ultrasonograf, dla szkoły – komputery. Dziś również przyjedzie do Bełżyc.

GRZEGORZ JÓZEFCZUK

Współczesne Bełżyce

Miasto może pochwalić się znakomitym basenem i halą sportową, aktywnym domem kultury. Jednakże o dziwo, wielokulturowa przeszłość Bełżyc jest nadal zupełnie zapomniana, a nawet wymazywana z pamięci. Na oficjalnej stronie internetowej miasta znajduje się np. tekst poniżający mieszkających tu przed wiekami innowierców – kalwinów i arian, chociaż już dawno nie ma po nich śladu. O Żydach na www.belzyce.pl przeczytamy, że „od czasu Reformacji zaczęli panoszyć się w Bełżycach". Nie ma słowa o kirkucie, a tym bardziej o pomocy, jakiej udzielił miastu Ariav.

„Gazeta Wyborcza" 05.10.2004
Artykuł *Ja, Ariav od kirkutu,* Grzegorz Józefczuk.

był kirkut żydowski". Nie ma żadnej macewy, niczego nie ma. To jest to miejsce. „To pan jest pewny, tak?". Poszliśmy do ksiąg, sprawdziliśmy. To było to miejsce. Ale drzewa tam były i nie było żadnej macewy. Wówczas prosiłem go o pomoc i on mi jej udzielił. I także pan Krężlewicz dał mi tę pomoc i pan Turski też mi pomógł bardzo. Napisałem list do ministra i w ciągu tygodnia dostałem odpowiedź z zapewnieniem, że to miejsce będzie dla Polaków święte. Wtedy zacząłem pracować nad tym, żeby dostać pozwolenie na postawienie tutaj żydowskiego kirkutu. I dostałem to pozwolenie i kirkut zbudowałem. Wziąłem dwóch architektów z Warszawy, nie chciałem niczyjej pomocy, nie chciałem w tym ni księdza, ni rabina. Jak zrobiłem ten cmentarz, to przyszli do mnie ludzie i powiedzieli, że oni mają meble mojego dziadka. Spytali, czy ja chcę to kupić. Powiedziałem, że nie, nie chcę kupić, zostawcie to sobie. Jeden gość przyniósł mi świecznik, powiedział, że to jest świecznik dziadka – i to kupiłem od niego. Niczego nie chciałem oglądać i nie chciałem tego: macie, sprzedajcie, zróbcie co chcecie. Tylko ten świecznik, i on stoi w moim biurze w Londynie. Zrobiłem jedną niepotrzebną rzecz, że go osrebrzyłem, bo on był czarny, powinienem go zostawić czarnym.

Język jidisz

Językiem jidisz posługiwałem się przed wojną. Dzisiaj więcej słucham niż mówię. Jak ktoś do mnie mówi po żydowsku, rozumiem. Ale nie będę z nim rozmawiał po żydowsku. Mam kuzyna, który przyjechał z Sao Paulo. Nie widziałem go jakieś dwadzieścia kilka lat. On jest z Lublina. Opuścił z rodziną Lublin w 1939 roku. Mam z nim problem: on mówi po portugalsku – ja nie znam portugalskiego; po angielsku trochę mówi, ale niewiele; polski trochę pamięta, ale nie za dużo, bo on jest młodszy ode mnie o 3 lata. I on pamięta, i ja pamiętam, jak żeśmy się tutaj razem bawili, ale on zna jidisz. Więc teraz, jak z nim jechałem do Bełżyc, w samochodzie mówiliśmy trochę po żydowsku, ale tak, to nie używam tego języka. Używam

czasami jakiś słów, które pamiętam, a które po żydowsku znaczą w ogóle coś innego – kiedy nie ma takiego słowa w innym języku.

Spotkanie z młodzieżą. Bełżyce, 2004

W zeszłym roku zaprosili mnie do szkoły w Bełżycach uczniowie ostatniej klasy, przed maturą. Napisali do mnie e-mail z prośbą, żebym powiedział, co się działo, jak się działo, i tak dalej. Odpisałem im, że e-mailem tego nie zrobię, ale jestem gotowy przyjechać i porozmawiać z nimi. Przyjęli, przyjechałem. Było tam dużo młodzieży, bo wzięli uczniów z dwóch szkół, i było kierownictwo szkoły, a ja stałem, po polsku mówiłem. Były pytania, bardzo dobre pytania. Odpowiedziałem trochę politycznie, niecałą prawdę, bo nie ma prawdy. Pytali, jacy Polacy byli. Co im powiedzieć? Jak to było? Oni za młodzi są. Powiedziałem, że byli tacy i tacy.

Do młodych

Sądzę, że nigdy nie byłem człowiekiem, na którego się patrzy i mówi: „Chciałbym być taki, jak ty jesteś". Nie mogę powiedzieć młodym ludziom, jak robić, co robić; ja także moim synom nie mogę tego powiedzieć. Ale jedną rzecz powiem: ucz się, ucz i – co najważniejsze – daj część z siebie innym: ludziom innej wiary, ludziom innej krwi, bo dzisiaj nie ma miejsca na: „On jest żydem, a ja jestem prawosławnym, a ten jest luteraninem..." – nie ma na to miejsca. Bądź człowiekiem. Będziesz pracować i będziesz miał trochę szczęścia, to dojdziesz do czegoś, czego ty chcesz – jeżeli wiesz, czego chcesz. Bo ja przeszedłem życie i widziałem dużo ludzi, którzy nie wiedzieli, czego chcieli. I tak przeszli przez swoje życie. Oni nie wtargnęli do życia – oni przeszli tak obok albo na górze tak, ponad. A trzeba wtargnąć, trzeba poznać, co to jest, trzeba czuć.

To jest pierwszy raz, po tylu latach, że ja siedzę tutaj z kimś i mówię o tych czasach. No, oczywiście, mówiłem tylko trochę o tym – ta historia, inna historia, opowiadam je. Ja mam jeszcze inne historie, z mojej pracy. Ja byłem na wszystkich wojnach Izraela, pracowałem z wieloma ludźmi, poznałem dużo wybitnych ludzi. A to wszystko, co to jest – nie wiem. Gdybym sam nie osiągnął i nie chciał tego...

Archiwum Teatru NN.
Rozmawiali: Tomasz Pietrasiewicz, Tomasz Czajkowski, 2008.
Całość relacji na stronie www.historiamowiona.tnn.pl

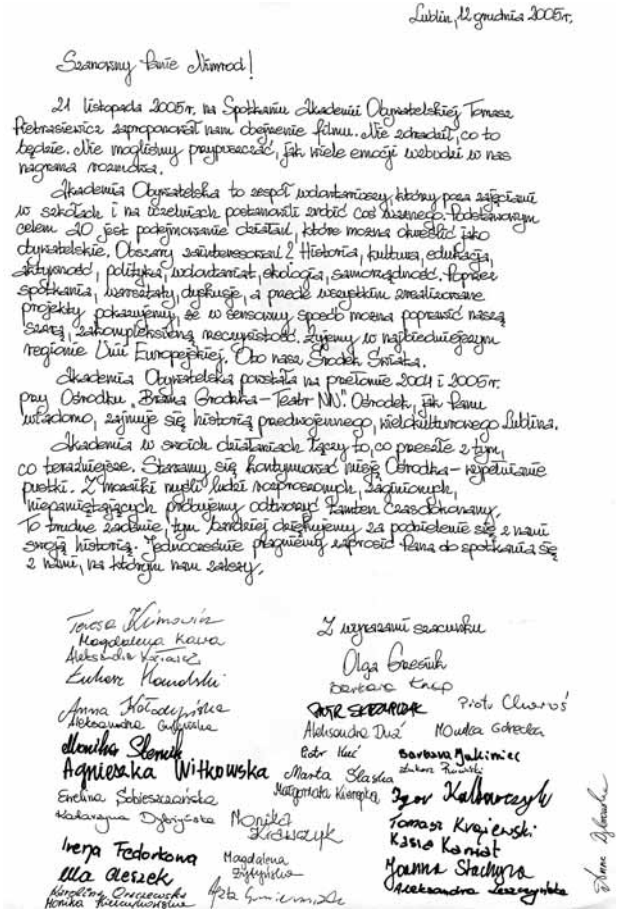

Lublin, 12 grudnia 2005 r.

Szanowny Panie Nimrod!

21 listopada 2005 r. na Spotkaniu Akademii Obywatelskiej Tomasz Piotrowiczr zaproponował nam obejrzenie filmu. Nie zdradził, co to będzie. Nie mogliśmy przypuszczać, jak wiele emocji wzbudzi w nas nagroda reżyserska.

Akademia Obywatelska to zespół wolontariuszy, którzy poza zajęciami w szkołach i na uczelniach postanowili zrobić coś dla innych. Podstawowym celem 20 fest podejmowanych działań, które można określić jako obywatelskie. Obszary zainteresowań: Historia, kultura, edukacja, aktywność, polityka, wolontariat, ekologia, samorządność. Poprzez spotkania, warsztaty, dyskusje, a przede wszystkim zrealizowane projekty pokazujemy, że w ciekawy sposób można poprawić naszą szarą, zaśmieconą rzeczywistość. Żyjemy w najbrzydszym regionie Unii Europejskiej. Oto nasz Środek Świata.

Akademia Obywatelska powstała na przełomie 2004 i 2005 r. przy Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Ośrodek, jak Panu wiadomo, zajmuje się historią przedwojennego, wielokulturowego Lublina.

Akademia w swoich działaniach łączy to, co przeszłe z tym, co teraźniejsze. Staramy się kontynuować pracę Ośrodka – przywracanie pustki. Z mozaiki ruin, liter rozproszonych, zagubionych, niepamiętających odbudowujemy odtworzyć tamten czas dobrany. To trudne zadanie, tym bardziej dziękujemy za podjęcie się z nami tej historii. Jednocześnie pragniemy zaprosić Pana do spotkania się z nami, na którym nam zależy.

Z wyrazami szacunku

Tomasz Piotrowicz
Magdalena Kawa
Aleksandra Kaniasz
Łukasz Kamiński
Anna Kołodziejska
Aleksandra Gutkowska
Monika Słomik
Agnieszka Witkowska
Paulina Sobieszczańska
Katarzyna Dyjczyńska
Irena Fedortowa
Ola Oleszek
Karolina Orczewska
Monika Kwiatkowska
Olga Greczuk
Barbara Krup
Piotr Chmura
Aleksandra Duś
Monika Gołecka
Piotr Kuć
Barbara Jakimiec
Marta Śląska
Małgorzata Kisiołek
Igor Kalbarczyk
Tomasz Krajewski
Kasia Kamiat
Joanna Stachyra
Aleksandra Leszczyńska
Monika Kucharczyk
Magdalena Zajączkowska
Ola Gumiewska

List młodzieży związanej z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN" do Nimroda Ariava, Lublin, 12.12.2005.

NIMROD ARIAV W BRAMIE GRODZKIEJ. SPOTKANIE Z MŁODZIEŻĄ

W listopadzie 2005 roku film z nagraniem relacji Nimroda Ariava obejrzeli młodzi ludzie z działającej przy Ośrodku „Brama Grodzka-Teatr NN" Akademii Obywatelskiej. Wysłali do niego list oraz kasetę z zapisem własnych wrażeń i refleksji. Oto fragmenty ich wypowiedzi:

Kasia

„Dziękuję za coś ważnego, za fragment historii, której nie byliśmy świadkami, i za przesłanie o tolerancji".

Agata

„Bardzo chętnie chciałabym uczestniczyć w spotkaniu z Panem, myślę że wiele rzeczy mogłabym dowiedzieć się od Pana. To, co można usłyszeć od osoby, to jest zupełnie coś innego niż to, co można poczytać w książkach".

Piotr

„Kilka informacji, które usłyszeliśmy w trakcie tej rozmowy, pokazuje klimat sytuacji i miejsc, których nie było nam dane zobaczyć, przeżyć i usłyszeć – chociażby te kilka informacji o przedwojennym Lublinie czy o Powstaniu Warszawskim".

Aleksandra

„Chciałam tylko powiedzieć, że tutaj, w tym wszystkim nie chodzi o jakieś filozofie, czy o to, co powinniśmy robić, a czego nie. To jest jakaś prawdziwa historia i jeżeli ktoś jest troszeczkę wrażliwy, to myślę, że to będzie dla niego ważne i to po prostu zostanie".

Anna

„Na pewno jest to dla mnie bardziej znaczące niż książki, które przeczytałam o historii Polski, o stosunkach polsko-żydowskich, bo to, co Pan przeżył, pokazuje nam, jak naprawdę wyglądały te stosunki, jak wyglądało życie człowieka. Chciałam za to podziękować. Mam nadzieję, że więcej osób będzie mogło obejrzeć ten wywiad i dowiedzieć się tego, czego ja się dowiedziałam".

Ola

„Chciałam Panu podziękować za to, że mogłam usłyszeć Pana przesłanie o tym, jak Pan mówił, żeby „nie ślizgać się po życiu", o tym, żeby „nie być ponad albo obok". Może to być inspiracją dla mnie, dla wielu innych osób, jak żyć, jak nie ślizgać się po życiu, jak wtargnąć w to życie. Dziękuję bardzo".

Nimrod Ariav i Tomasz Pietrasiewicz w Bramie Grodzkiej.
Fot. Joanna Zętar, 2006.

Spotkanie Nimroda Ariava z młodzieżą w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”.
Fot. Joanna Zętar, 2006.

13 lutego 2006 roku Nimrod Ariav przyjechał do Lublina, by porozmawiać z młodzieżą. Spotkanie odbyło się w Bramie Grodzkiej.

Nimrod Ariav:

Moje nazwisko brzmi dzisiaj Nimrod Ariav. Przedtem w Lublinie – Cygielman, w Warszawie – Henryk Górski i Jerzy Eugeniusz Godlewski. A dla moich przyjaciół jestem Zigi, także tak mnie, proszę, wołajcie. A teraz – wy zaczynajcie. Odpowiem na wszystko, o co zapytacie. Wczoraj byłem w Warszawie i kolega mnie spytał, czy przygotowałem się do tego spotkania. Powiedziałem: nie. Bo nie mam się z czego przygotowywać. Ja tu nie przyszedłem do was przemawiać: ja chcę usłyszeć, o co mnie spytacie, a żeby na to odpowiedzieć, nie potrzebuję się przygotowywać. Ja wam opowiem, co przeżyłem – jeżeli chcecie, i co czuję – jeśli tego chcecie.

Olga Grzesiuk:

Ja od 12 grudnia myślę o tym początku, czyli odkąd napisaliśmy ten list do pana. Bo cóż można powiedzieć? Przede wszystkim to, że dla nas było ogromnym zaskoczeniem obejrzenie tej rozmowy, którą przeprowadził z panem pan dyrektor Pietrasiewicz. I proszę nam wierzyć: to, co pan mówi, jest dla nas bardzo, bardzo ważne. Dla tego miejsca i dla ludzi, którzy się tutaj znaleźli – czasem przypadkowo, ale jednak wydaje mi się, że nieprzypadkowo – to kwestia bardzo istotna. I cieszę się, że jest pan z nami.

Ariav Nimrod: Dziękuję.

Anna Dąbrowska:

Wydaje mi się, że w ogóle zaprosiliśmy pana tutaj po to, żeby pan nam opowiedział, w jaki sposób rozmawiać o tym, co przeżyło pańskie pokolenie, z takimi ludźmi jak my. W jaki

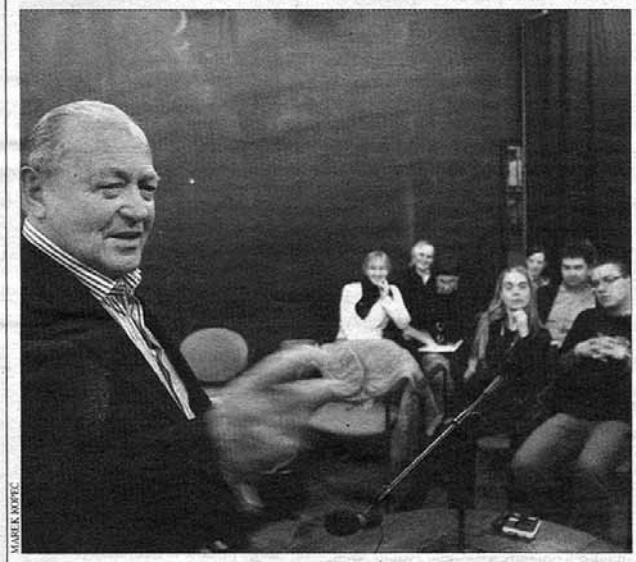

MAREK MOPEC

Warszawa drugim domem

– Moje nazwisko dzisiaj brzmi Nimrod S. Ariav, przedtem w Lublinie nazywałem się Cygielman, w Warszawie byłem Henrykiem Górskim i Jerzym Eugeniuszem Godlewskim. Ja nie będę przemawiał, chcę usłyszeć pytania, odpowiem, co przeżyłem, co ja czuję – mówił gość wczorajszego spotkania Akademii Obywatelskiej w Bramie Grodzkiej. Nimroda Ariava pytano przede wszystkim o szczegóły życia w przedwojennym Lublinie. – Byłem wtedy małym chłopcem. Jak było? Jak teraz, tylko nie mieliśmy komputerów – odpowiadał z uśmiechem. Nimrod Ariav walczył w Powstaniu Warszawskim i omal nie zginął. – Walczyłem dla Warszawy i dla siebie. Warszawa jest drugim moim domem. GRJ

„Gazeta Wyborcza" 14.02.2006, Grzegorz Józefczuk.

sposób nawiązać ten dialog, który rozgrywa się jak gdyby na dwóch różnych krańcach tej przepaści – tych iluś tam lat po wojnie.

Ariav Nimrod:

Ja nie mam odpowiedzi dla pani, jak to trzeba zrobić i czy trzeba to zrobić. Ja sądzę, że popełniłem błąd, że nie mówiłem o tym w domu. Prosili mnie, żebym chodził do szkół, żeby uczniom przekazać, co tu było. Nie chciałem. Nie chciałem w ogóle o tym mówić. W 1988 roku – miałem już jakieś sześćdziesiąt kilka lat – po raz pierwszy z moimi synami mówiłem o tym, co tutaj było. Zaprosiłem ich wtedy do Polski, żeby pokazać i powiedzieć im, gdzie ich korzenie i co tutaj było – przez moje oczy. Każdy może zinterpretować to, jak chce. I oni słuchali i nic nie powiedzieli. Niczego od nich nie usłyszałem przez jakiś rok. Bo później wyjechali z powrotem do szkoły, a ja wróciłem do Anglii, gdzie już wówczas mieszkałem. Jedną rzecz razem zrobiliśmy: pojechaliśmy szukać grobu mojego ojca – dzisiaj stoi tam kirkut żydowski. Co roku od tego czasu, od 1990 roku, rodzina moja, koledzy, znajomi przyjeżdżają ze mną do Bełżyc, i wówczas nie ma księdza i nie ma rabina. Moi synowie i synowe mówią albo wiersz, albo coś z Biblii – oni sami muszą zdecydować. Ja mówię kadisz, modlitwę za zmarłych. Składamy kwiaty i cisza. Czy trzeba iść do szkół i mówić o tym? Może tak? Ja sądzę, tutaj, jak teraz mówię do was, do młodzieży: zdaje się, że trzeba to robić. Zdaje się. Ale czy jestem pewny? Nie wiem. Nie wiem, czy każdy może to zrobić. Ja tutaj jestem może bardziej wzruszony niż kiedyś byłem, jak ja w tym byłem. Ja przekazuję mojej rodzinie to, co sam przeszedłem. Ja nie wiem, czy ja mam rację, czy mam prawo, przekazać to, co czuję, innym ludziom. Może tak.

Ola Gulińska:

Chciałam zapytać o moment powstania Izraela. Wtedy właściwie, nagle, z różnych krajów, gdzie mieszkali Żydzi – i ci, którzy przeżyli w okupowanej Europie, i ze Stanów, i inni -

Nemrod Ariav w Bramie Grodzkiej.
Fot. Joanna Zętar, 2006.

Nimrod Ariav z wizytą w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr" NN.
Fot. Piotr Sztajdel, 2005.

przyjeżdżają do Izraela. Mówią różnymi językami, ich kultura i obyczaje nieco się jednak różnią. Co było najtrudniejsze w momencie, gdy ci obcy sobie ludzie musieli nagle wspólnie tworzyć państwo, wspólnie żyć, jakoś komunikować się ze sobą i nawiązać relacje?

Nimrod Ariav:

Dla mnie – i zdaje się, dla wszystkich – to był język. I to nie poszło łatwo. Ja miałem to szczęście, że zaraz go dobrze złapałem. Bo miałem bazę tutaj, w Lublinie, w Tarbucie – to była hebrajska szkoła. Jak przyjechałem, w ciągu miesiąca już mówiłem. Ale dla ludzi najważniejszy był język. Później – zwyczaje. Bo co ma wspólnego Żyd z Polski z Żydem z Tunezji czy z Maroka? Zero. Nie ma nic wspólnego. Ale oni wszyscy są Żydami! To się pomału jakoś poukładało. Ja pani dam przykład dokładny: pracowałem w Israel Aircraft Industries – to jest największa fabryka samolotów na całym tamtejszym Wschodzie. W czasie, kiedy tam byłem, dwadzieścia kilka tysięcy ludzi pracowało w tej fabryce – a ja byłem jej prezesem. W tej fabryce byli inżynierowie z czterdziestu kilku miejsc, a dla każdego jego *alma mater* najlepsza! Bo Żyd z Francji, z Sorbony, jest lepszy niż ten z Oxfordu, a z Oxfordu lepszy niż z Politechniki Warszawskiej albo z marokańskiej, albo z Teksasu czy skądinąd. I żeby zrobić z nich jedną jednostkę, pracującą razem, bo tam dużo dobrych rzeczy jest, każdy ma inny pomysł, każdy może coś stworzyć, ale żeby pracowali razem, to była najważniejsza praca. I to nie było łatwe, ale to zrobili!Mam także swoją teorię, dlaczego Marokańczyk i Żyd z Warszawy i z Lublina mogą się porozumieć. Nie wiem dlaczego, ale powiem pani, co mi się wydaje. Leciałem do Ikito – Ikito to jest koło Peru i Brazylii, gdzieś w tamtą stronę, małe miejsce na końcu świata! Wylądowałem w Ikito. Idę ulicą, to jest mała ulica, i widzę Żyda z Jemenu. Podleciałem do niego: „Jak się masz?!" A co ja mam wspólnego z nim? Zero. Ale byłem bardzo, bardzo zadowolony, że on tam jest – na końcu świata!

LUBLIN

Mówiłem po polsku i wyglądałem jak Polak

Gościem dzisiejszego spotkania Akademii Obywatelskiej będzie Nimrod S. Ariav-Cygielman, którego życie mogłoby posłużyć za kanwę fascynującego filmu

Urodził się w Lublinie, miał rodzinę w Bełżycach. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Był wysokim rangą izraelskim pilotem wojskowym, dyrektorem fabryki samolotów, potem nimi handlował. Pod koniec lat 80. przyjechał do rodzinnych Bełżyc, aby odnaleźć i odnowić tamtejszy kirkut. Zaczął wspomagać bełżycki szpital i szkoły, ufundował ultrasonograf, aparaty rentgenowskie, pracownie komputerowe. Historię życia Nimroda Ariava poznali członkowie Akademii Obywatelskiej przy Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN", słuchając jego nagranych relacji. Wysłali list. „Nie mogliśmy przypuszczać, jak wiele emocji wzbudzi w nas nagrana rozmowa" – napisali i zaprosili go Lublina. Spotkanie odbędzie się dziś o godz. 17 w Bramie Grodzkiej.

„W domu były używane trzy języki. Rodzice mówili po żydowsku. Ja z moim bratem chodziliśmy do Tarbutu, to mówiliśmy po hebrajsku. I mieliśmy guwernantkę – Gertrud, która mówiła do nas po niemiecku. Znałem także język polski, nie za dobrze, ale na tyle wystarczająco, że mogłem mówić i wyjaśnić się po polsku nie z żydowskim akcentem. I to mnie uratowało" – wspomina Nimrod Ariav w rozmowie dla programu „Historia mówiona" Teatru NN. W reportażu „Powrót" Agnieszki Czyżewskiej-Jacquemet z Radia Lublin wyznaje: „Nie wyglądałem jak Żyd. Byłem członkiem AK, przeszedłem szkołę, byłem podchorążym. Miałem dużo nazwisk: Henryk Górski, Jerzy Eugeniusz Godlewski. Podczas powstania byłem na Siennej, później walczyłem na Starówce, gdzie zostałem ranny. Chcę znaleźć to miejsce i nie mogę. Przeszedłem Starówkę może z 50 razy. Są rzeczy, które wychodzą z głowy i nie chcą wrócić". W Warszawie poznał Annę Rajs-Langfus, lubelską Żydówkę, która w 1960 dostała nagrodę Prix Goncourt.

W grudniu 1945 roku Nimrod Ariav wyjechał z Polski, najpierw do Niemiec, trzy lata później do Izraela. „Zacząłem myśleć, że ja jestem Żydem i że moje miejsce jest w Izraelu" – wspomina. Zrobił karierę w lotnictwie. Był na wojnach

Nimrod S. Ariav-Cygielman na kirkucie w Bełżycach (2003)

Izraela. Został prezesem Israel Aircraft Industries, aby później zająć się handlem samolotami. „W 1988 roku postanowiłem, że moi synowie powinni wiedzieć, co tu się działo. Nigdy w domu nie mówiliśmy o tym i ja nie chciałem mówić o tym" – opowiada, jak zdecydował się odnaleźć grób ojca, którego – rozstrzelanego przez Niemców w 1942 r. – sam potajemnie pochował. Jednak w Bełżycach po kirkucie nie pozostało prawie nic. Zarósł wysokimi topolami. Dzięki Nimrodowi Ariavowi bełżycki kirkut wydobyto z zapomnienia. Na ścianie muru przy wejściu znajduje się reliefowa rzeźba drzewa przypominającego menorę, najpiękniejsze tego rodzaju dzieło cmentarne w Polsce. Od 1990 r. w rocznicę śmierci ojca na bełżycki kirkut Ariav przywozi Żydów z całego świata, aby pokazać tę dbałość o pamięć przeszłości. Był wśród nich – oczywiście incognito – Mosze Arens, wielokrotny minister obrony i spraw zagranicznych Izraela.

GRZEGORZ JÓZEFCZUK

„Gazeta Wyborcza", 13.02.2006, Grzegorz Józefczuk.

Lublin
20 X 2005

WSPOMIENIE NECHAMY TEC

historia mówiona

ur. 1931 w Lublinie, ocalonej z Zagłady, amerykańskiej pisarki, profesor socjologii, autorki książek autobiograficznych i wspomnieniowych (*Suche łzy, Daniel w jaskini lwa*); badaczki Holokaustu.

Jak już byłam w Izraelu, miałam może szesnaście, siedemnaście lat, to myśmy trochę chodzili ze sobą. On wtedy przyjechał sam, nie miał nikogo. Z niego jest bardzo miły człowiek, mądry. Myśmy chodzili może do kina razem albo na spacer. W tamtych czasach znałam go dość dobrze. Myśmy nie mówili o swoich historiach. Ja nawet moim rodzicom nie powiedziałam, jak mi było w Otwocku samej. Moja mama nie wiedziała, mój ojciec nie wiedział, moje dzieci nigdy nie wiedziały. Jak książka wyszła, to się dowiedzieli.

Nie wiem, jak on przeżył. Nie mam pojęcia. Naprawdę ja bym z ciekawością chciała przeczytać, jak on przeżył. On też nie wiedział o mnie... Nie wiedział, kim jestem, że mam rodziców... Myśmy o sobie nie rozmawiali, ani o wojnie. Ja w ogóle nie chciałam mówić z nikim o wojnie. W ogóle nie rozmawiałam z nikim. I ludzie nie byli zaciekawieni też. Nie pytali. I ja byłam zadowolona, że nie pytają, bo bym im nie odpowiedziała. Nie wiem o nim nic. Wiem tylko, że on był sam, biedny, i że jest straszy kilka lat ode mnie.

Jeśli zobaczycie pana Cygielmana, to przekażcie mu serdeczne pozdrowienia. Ja go zawsze wspominam bardzo ciepło. To bardzo fajny człowiek – mądry i fajny.

Archiwum Teatru NN.
Rozmawiała Wioletta Wejman, 2005.
Całość relacji na stronie www.historiamowiona.tnn.pl

DOM NIMRODA ARIAVA W LUBLINIE

Kamienica, w której w latach 20. i 30. XX wieku mieszkali przodkowie Nimroda Ariava, mieściła się w Lublinie przy ul. Nowej, pod numerem 17. Została wybudowana na początku XIX wieku. W roku 1937, z którego zachowały się materiały archiwalne dotyczące kamienicy, budynek należał do sióstr Frajdli i Sury Wajsbrodt. W ich imieniu kamienicą zarządzał Josef Wajsfeld, zamieszkały przy ul. Grodzkiej 14.

Kamienica przy Nowej 17 była budowlą dwupiętrową, wybudowaną z cegły, z przeznaczeniem na cele mieszkalne. Posiadała dwie klatki schodowe – główną i boczną. W skład posesji wchodziło także obszerne osiemdziesięciometrowe podwórze z brukowaną nawierzchnią. Budynek składał się z siedemnastu odrębnych lokali mieszkalnych – ośmiu mieszkań jednopokojowych, pięciu mieszkań z dwoma pomieszczeniami i czterech lokali trzypokojowych, oraz pomieszczeń gospodarczych usytuowanych na parterze. Cała kamienica zaopatrzona była w oświetlenie elektryczne, wodociągi i kanalizację. Mimo deklaracji właścicieli przeznaczenia budynku tylko do celów mieszkalnych, na parterze kamienicy mieściło się osiem

Kamienica przy ul. Nowej 17 w Lublinie, dom rodziny Nimroda Ariava (Szulima Cygielmana).
Fot. Stefan Kiełsznia, 1938.

Lublin, ul. Lubartowska 19 (dawniej Nowa 17), kamienica, w której do 1940 roku mieszkała rodzina Nimroda Ariava.
Fot. Marcin Fedorowicz, 2008.

sklepów – m. in. „Fabryka Cukrów", „Galanteria", „Materiały piśmienne", „Wytwórnia wafli" – Ezry Halckiener, „Wytwórnia czapek" – Arona Jeleniewicza oraz sklep obuwniczy.
We wrześniu 1939 roku, w wyniku prowadzanych działań wojennych, część kamienicy uległa zniszczeniu, a jej lokatorzy zmuszeni byli sami starać się o środki finansowe do jej odbudowy i remontu. Z tego okresu pochodzi podanie napisane przez Matlę Rajzlę Cygielman (matkę Ariava Nimroda), pełnomocnika właścicielek kamienicy, skierowane do Wydziału Budownictwa Urzędu Miasta, z prośbą o uzyskanie pozwolenia na przeprowadzenie remontu w zniszczonych pomieszczeniach. Remont wnętrza budynku nie został jednak zrealizowany.
Dopiero 1946 roku kamienica przy ul. Nowej 17 została całkowicie przebudowana, zmienił się wewnętrzny układ lokali mieszkalnych oraz wygląd fasady frontowej.

Marzena Baum

Na podstawie materiałów z Archiwum Państwowego w Lublinie,
zespół „Inspekcja Budowlana miasta Lublina 1926-1950" sygn. 3309.

BEŁŻYCE

Społeczność żydowska Bełżyc na przestrzeni wieków

Bełżyce (jidysz – *Belzhitza*) to jedno z najstarszych miast województwa lubelskiego. Pierwsza wzmianka o tej miejscowości pojawiła się w dokumencie lokacyjnym z 1349 r., w którym król Kazimierz Wielki – na wniosek właściciela wsi Bełżyce Rafała z Tarnowa herbu Leliwa – przeniósł ją z prawa polskiego na niemieckie.[1] Nowe miasto, położone nieopodal najważniejszego szlaku handlowego ówczesnego państwa polsko – litewskiego z Krakowa do Wilna, szybko się rozwijało i zyskiwało nowych mieszkańców. Pierwsi Żydzi osiedlili się w Bełżycach w połowie XVI stulecia[2]. Organizacja gminy żydowskiej nastąpiła najprawdopodobniej w latach 70. tego wieku[3]. Bełżyccy Żydzi trudnili się głównie handlem, co spowodowane było korzystnym

[1] S. Jadczak, *Bełżyce. Monografia miasta i gminy*, Lublin–Terespol 2002, s. 23.

[2] J. Muszyńska, *Żydzi w miastach województwa sandomierskiego i lubelskiego w XVIII w. Studium osadnicze*, Kielce 1998, s. 111.

[3] A. Kopciowski, *Dzieje Żydów bełżyckich*, [w:] *Studia z dziejów Bełżyc*, Lublin–Terespol 2006, s. 125.

położeniem miasta na szlaku królewskim z Krakowa, przez Sandomierz i Lublin, do Wilna. Liczba żydowskich mieszkańców Bełżyc zwiększyła się znacznie w II połowie XVI stulecia. Na południe od rynku wzniesiono wówczas gmach synagogi, otworzono także szkołę. Źródła XVII-wieczne wymieniają już dwie synagogi w mieście. Żydzi bełżyccy trudnili się wówczas głównie handlem i rzemiosłem, wykorzystując fakt, iż XVII-wieczne Bełżyce były znaczącym ośrodkiem różnowierczym i że na liczne synody oraz zjazdy przybywała szlachta ariańska i kalwińska z całej niemal Małopolski, zatrzymując się w karczmach i zajazdach prowadzonych przez Żydów[4].

O dużym znaczeniu Bełżyc dla Żydów świadczy fakt, iż w 1643 r. zebrał się tu sejm Żydów Rzeczpospolitej, tzw. Sejm Czterech Ziem[5]. Okres rozwoju społeczności żydowskiej w Bełżycach brutalnie przerwał najazd kozaków Chmielnickiego w 1648 r., szybko jednak udało się miejscowej gminie odbudować zniszczenia po pogromie.

W 1676 r. Żydzi stanowili blisko 23 % mieszkańców Bełżyc. Zamieszkiwali oni swoją dzielnicę w rejonie ulic: Żydowskiej (ob. 1000-lecia), Zatylnej (ob. Jakuba Nachmana), Zatylnej Żydowskiej (ob. Bednarskiej) i Południowej.

XVIII wiek przynosi już pełną organizację prawną żydowskiej gminy wyznaniowej w Bełżycach. Reprezentowała ją Rada Starszych mająca zarząd nad synagogą, szkołą oraz kirkutem, który powstał ok. 1810 r.

W połowie XIX stulecia Żydzi bełżyccy podwoili swoją liczebność, stanowiąc ok. 45% ogółu mieszkańców miasta (w 1859 r. wśród 1693 mieszkańców Bełżyc było 757 Żydów).[6] Pod ko-

[4] Szczególne korzyści przynosiło położenie Bełżyc na szlaku Kraków – Wilno, którym często przemierzały orszaki królewskie Jagiellonów, podróżujące między dwoma stolicami państwa., S. Jadczak, dz. cyt., s. 80.

[5] Tamże, s. 80.

[6] A. Kopciowski, dz. cyt., s. 126.

niec XIX i w początkach wieku XX społeczność żydowska w Bełżycach, liczyła już przeszło 53 % mieszkańców[7].

W chwili odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 r. w Bełżycach było – oprócz wielkiej synagogi – 6 prywatnych domów modlitwy i 8 chederów (szkół religijnych), w tym szkoła mieszcząca się w budynku wzniesionym dla niej w XVII w.

W okresie międzywojennym, według wyników pierwszego spisu powszechnego II Rzeczpospolitej z 1921 r., Żydzi bełżyccy stanowili połowę mieszkańców miasta.[8] Utrzymywali się głównie z drobnego handlu i rzemiosła, świadcząc swoje usługi mieszkańcom Bełżyc i najbliższych okolic. Sytuacja ludności żydowskiej Bełżyc, podobnie jak i innych miejscowości regionu, uległa dramatycznemu pogorszeniu w czasie okupacji hitlerowskiej. Pierwsze oddziały wojsk niemieckich wtargnęły do miasteczka 16 września 1939 r.

„Pojawienie się żołnierzy niemieckich wywołało przerażenie ludności żydowskiej. Żydzi nie opuszczali swoich mieszkań, świadomi niebezpieczeństwa, jakiego mogli oczekiwać"[9]

W roku wybuchu II wojny światowej Bełżyce zamieszkiwało około 2100 Żydów. Eksterminacja tej społeczności rozpoczęła się już w 1940 r.[10] Bełżyccy Żydzi od samego początku okupacji traktowani byli jak bezpłatna siła robocza. W mieście, podobnie jak i innych miejscowościach Generalnego Gubernatorstwa, obowiązywało ustawodawstwo antyżydowskie – nakaz nosze-

[7] S. Jadczak, dz. cyt., s. 81.

[8] A. Kopciowski, dz. cyt., s. 126.

[9] Hela Ferstman, *Wspomnienia z getta w Bełżycach*, AŻIH sygn. 302/2.

[10] Wówczas to, w pierwszej masowej egzekucji w Bełżycach w dniu 16 czerwca, żandarmi niemieccy rozstrzelali 13 osób, w tym 10 Żydów, S. Jadczak, dz. cyt., s. 82.

nia opasek z gwiazdą Dawida, oznakowanie przedsiębiorstw i sklepów żydowskich, blokada kont bankowych, ograniczenia w poruszaniu się, godzina policyjna, itd.

„11 grudnia 1939 r. Zarządzenie zobowiązujące wszystkich Żydów w wieku od lat 13 do noszenia hańbiących opasek i do kłaniania się każdemu niemieckiemu żołnierzowi. Każdy Żyd, który by wyszedł na ulicę bez opaski, zostałby pobity i surowo ukarany. Gdyby zaś zapomniał się ukłonić się Niemcowi, naraziłby się na ciężkie pobicie. Tak więc każdy Żyd, rozpoznawany dzięki opasce, stawał się celem represji"[11]

Utworzono Judenrat, zniszczono miejscowe synagogi, a w grudniu 1940 r. powstało getto żydowskie. Hitlerowcy skoncentrowali w nim nie tylko miejscową społeczność, ale także dowożonych transportami kolejowymi Żydów z Krakowa, Lublina, Szczecina czy Saksonii.

„Przybywają do naszego miasta masy ludzi z miast i miasteczek, które zostały zajęte przez wojska niemieckie. Opowiadają oni przerażające rzeczy, o tym jak zostali uwięzieni najzamożniejsi obywatele miasta i żywcem spaleni. Opowiadają także o paleniu bożnic, o gwałceniu kobiet żydowskich i o zabijaniu Żydów wraz z jeńcami polskimi"[12]

W efekcie kolejnych transportów liczba mieszkańców bełżyckiego getta w marcu 1942 r. wyniosła blisko 5000 osób. Getto początkowo nie było zamknięte, ogrodzono je i wzmożono kontrolę dopiero w styczniu 1942 r.

---

[11] Hela Ferstman, *Wspomnienia z getta w Bełżycach*, AŻIH sygn. 302/2.
[12] Hela Ferstman, tamże, sygn. 301/50.

W maju 1942 r. hitlerowcy rozpoczęli likwidację getta w Bełżycach[13]. Stopniowo, w kolejnych 3 transportach, wysłano znaczną część mieszkańców do obozu na Majdanku.

„Przyjechała niemiecka żandarmeria z Ukraińcami i obstawili miasto. Złapano mężczyzn, przeważnie młodych. (...) Zebrano ich na rynku a potem pognano pieszo w kierunku Lublina. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że wszystkich zaprowadzono na Majdanek. Mówiono, że nikt nie wróci, bo to jest obóz śmierci"[14]

Wielkie wysiedlenie Żydów z Bełżyc nastąpiło jesienią 1942 r. We wrześniu kilkuset Żydów wywieziono na Majdanek.

„Wśród Żydów i Polaków krążyły pogłoski, że będzie łapanka na Polaków, ale kiedy nastał dzień mówiono, że będą wysiedlali Żydów z miasta. Powstała panika, ludzie pochowali się do kryjówek i do sąsiadów Polaków, ja zaś z siostrą udałam się do szwagra, który mieszkał w polskiej dzielnicy i tam ukryłam się u gospodarzy na strychu. Siedziałyśmy tam kilka godzin i słyszałyśmy strzały, huki i lamenty. Jednocześnie głośniki radiowe ogłosiły, że za przechowywanie Żydów grozi kara śmierci, a za rabowanie mienia żydowskiego więzienie. Słyszałyśmy też, że dużo aut z młodzieżą odjechało w kierunku Lublina"[15]

W październiku 1942 r. kolejny transport Żydów bełżyckich wyruszył do obozu zagłady w Sobiborze, gdzie został natychmiast skierowany do gazu. Transport ten liczył 7230 Żydów,

[13] A. Kopciowski, dz. cyt., s. 131.
[14] Gołda Teich, *Wspomnienia z getta w Bełżycach*, AŻiIH sygn. 301/1812.
[15] Gołda Teich, tamże.

Tablica pamiątkowa na cmentarzu żydowskim w Bełżycach.
Fot. Joanna Zętar, 2005.

Widok ogólny na cmentarz żydowski w Bełżycach.
Fot. Tomasz Czajkowski, 2006.

zgromadzonych w Bełżycach z 7 okolicznych gmin powiatu lubelskiego, m.in. Bychawy, Jastkowa czy Wojciechowa. Pozostałych jeszcze mieszkańców getta zgromadzono w kilkunastu domach wokół zrujnowanej synagogi, tworząc w gmachu synagogi obóz pracy, odseparowany od reszty miasta drutem kolczastym.

Najbardziej tragicznym dniem w historii żydowskiej społeczności Bełżyc był 8 maja 1943 r. W tym dniu oddział SS dokonał rozstrzelania w pobliżu synagogi pozostałych mieszkańców getta (750 kobiet, 150 dzieci i ok. 100 mężczyzn)[16]. Egzekucji uniknęło wówczas 250 kobiet i 350 mężczyzn wysłanych przez Niemców do obozu pracy w Kraśniku-Budzyniu lub getta w Piaskach Lubelskich.

W ten sposób przestały istnieć żydowskie Bełżyce. Jedynie nielicznym udało się ujść zagładzie. Część przetrwała niemieckie obozy, część znalazła schronienie u chrześcijan, bądź przetrwała w lasach i partyzantce. Wkrótce jednak i oni wyemigrowali.

Dziś pozostałością po wielowiekowej obecności Żydów w tym mieście jest jedynie pomnik i kamień na placu przed Miejskim Domem Kultury, gdzie kiedyś stała bożnica oraz pamiątkowy obelisk na dawnym kirkucie.

Marzena Baum

[16] A. Kopciowski, dz. cyt., s. 133.

Historia kirkutu w Bełżycach

Zlokalizowany przy drodze do Urzędowa (obecnie ul. Przemysłowa) ok. 1 km za miastem, został urządzony w latach 30-tych XIX wieku. Otoczony był rowem i wałem ziemnym.
Cmentarz funkcjonował do maja 1943 roku, tj. do ostatecznej likwidacji przez hitlerowców getta w Bełżycach, ale przetrwał w dobrym stanie do końca II wojny. Zniszczony został przez okoliczną ludność, która wykorzystała macewy do celów użytkowych. Cmentarz czekał ponad 40 lat na ludzką troskę i restaurację (w latach 60. teren ogrodzono płotem z siatki i obsadzono regularnie drzewami). Uczynił to dopiero w końcu lat 80. Nimrod S. Ariav-Cygielman. [...] Jego ojciec, rozstrzelany przed bóżnicą, spoczywa na tymże kirkucie.
Uroczystość religijna zakończenia restauracji cmentarza żydowskiego w Bełżycach miała miejsce w październiku 1990 roku. Cmentarz zaprojektował architekt Zbigniew Gąsior. Otoczono go wysokim murem z białego kamienia (opoki), który pokryto daszkiem z czerwonej dachówki. Brama ma kształt obszernej kopuły. Ułożono w niej wzór drzewa życia i umieszczono napis w języku polskim i jidisz "Cmentarz żydowski". Wewnątrz cmentarza wyeksponowano kilka ocalałych macew zwróconych przez mieszkańców miasta. Na pomniku-macewie z czarnego marmuru zapisano: "Pamięci tych wszystkich, którzy pochowani zostali w tym miejscu".
Dobroczyńca cmentarza, Nimrod Ariav, umieścił też tablicę poświęconą pamięci swojego ojca:

Na tym cmentarzu żydowskim wraz z moim bratem Abrahamem zamordowanym później przez Niemców oraz z innymi Żydami, którzy wówczas ocaleli z pożogi, pochowałem mojego ojca Arie-Lejba Cygielmana rozstrzelanego przez hitlerowców na placu przed bożnicą w Bełżycach wraz z innymi 149 Żydami 2 października 1942 roku.

Stanisław Jadczak,
Bełżyce. Monografia miasta i gminy, Lublin-Terespol 2002.

Cmentarz żydowski w Bełżycach.
Fot. Piotr Sztajdel, 2006.

Cmentarz żydowski w Bełżycach.
Fot. Joanna Zętar, 2005.

HISTORIA MÓWIONA BEŁŻYC

Rozmowa z panem Bogdanem Abramowiczem (ur. w 1943), rodowitym bełżyczaninem, naczelnikiem miasta i gminy Bełżyce w latach 1982-1990.

Czy pana rodzice czy dziadkowie opowiadali panu o dawnych Bełżycach? Mam tutaj na myśli w szczególności wielokulturową przeszłość tego miasta.

Dom rodzinny mojego ojca był bardzo blisko bożnicy, łaźni żydowskiej, tego kirkutu leżącego przy rynku bełżyckim, i siłą rzeczy, ojciec – jako tam mieszkający – i jego cała rodzina mieli bardzo bliskie kontakty z Żydami przed II wojną światową. Chodzili razem do szkoły, bawili się jako dzieci i niejednokrotnie ojciec opowiadał mi o tym. Bardzo często, jako młody chłopak, ciekawy życia bełżyckiego, pytałem i rodzice mówili mi o tych właśnie swoich wspomnieniach, podając różnego rodzaju nazwiska. Na Rynku było bardzo dużo sklepików, najczęściej właśnie prowadzonych przez Żydów.

Czy pan, jako dziecko, chodził na teren byłego cmentarza żydowskiego? Jak go pan zapamiętał?

Tereny cmentarzy żydowskich to są takie tereny, które po II wojnie światowej były bardzo często zaniedbane – bo wiemy, jak to wszystko się w Polsce odbywało: służyły na różnego rodzaju cele. Kiedy byłem młodym chłopcem, nieraz się poszło w tamtym kierunku czy grało z chłopakami w piłkę. Częściowo, od strony Bełżyc teren ten był ogrodzony, były tam pojedyncze drzewa, natomiast w dalszej tej części, przynajmniej jak ja pamiętam, był to teren wolny. Z czasem, kiedy powiat bełżycki powstał, gminna spółdzielnia dostała skierowanie, aby przy tej ulicy budować całą swoją bazę – i faktycznie powstała tam baza, która jest do dzisiaj. Natomiast ta część ogrodzona siatką, zabezpieczona w pewnym stopniu, nie była użytkowana. Wszyscy o tym wiedzieli, że to jest cmentarz żydowski, a u nas, w potocznej mowie, to się nazywało: kirkut żydowski.

Proszę opowiedzieć, jak Pan zapamiętał swoje pierwsze spotkanie z panem Nimrodem Ariavem?

Już nie pamiętam, w którym to było roku, ale chyba w 1986-1987, może w 1988. Byłem wtedy naczelnikiem, przyjechał do mnie pewien pan, który przedstawił się jako ten, który przebywał w Bełżycach w trakcie wojny, a urodził się w Lublinie; i powiedział, że miał rodzinę w Bełżycach, a właściwie dziadków. Bardzo przyjemny, bardzo skromny człowiek. Przedstawił się taką łamaną troszeczkę polszczyzną, zapytał, od kiedy tutaj pracuję i czy znam trochę Bełżyce. Jak mu powiedziałem, że jestem rodowitym bełżyczaninem, urodziłem się w 1943 roku, powiedziałem, gdzie mieszkał mój ojciec, gdzie jego dom rodzinny był – wtedy zapytał, czy może mi opowiedzieć swoją historię. Jak się rozpoczęła II wojna światowa, kiedy hitlerowcy zaczęli niszczyć narodowość żydowską w Lublinie (a on mieszkał gdzieś na Starym Mieście, tam mieli swój dom rodzinny), to przenieśli się do dziadków w Bełżycach. Jego dziadkowie – jak mi mówił – mieszkali w Rynku. Po jego przyjeździe do Bełżyc stało się

DOBROCZYNNOŚĆ Za pieniądze Izraelczyka wyremontowano już szkołę i wyposażono miejscowy szpital

Pamiętają o Bełżycach

Wczoraj Żydzi złożyli kwiaty u stóp tablicy upamiętniającej zagładę ich rodaków

Co roku w rocznicę śmierci swojego ojca Nimrod S. Ariav przyjeżdża do Bełżyc. Towarzyszy mu liczna rodzina i grupa kilkudziesięciu przyjaciół z całego świata. Modlą się za zamordowanych tu Żydów i fundują wyposażenie miejskich instytucji.

„O Panie, uczyń z nas narzędzie pokoju" – zabrzmiał wczoraj kadysz na bełżyckim kirkucie. Te słowa głęboko zapadały w serca tych, co ocaleli z pogromu, a także ich dzieci i wnuków. Za ofiary Holocaustu modlił się także lubelski dominikanin, o. Tomasz Dostatni.

– 2 października 1942 roku, na miejscu, gdzie stała synagoga, rozstrzelano 150 Żydów – wspomina **Nimrod S. Ariav**. – Pozostałych przy życiu wywieziono na zagładę do obozów śmierci. Moją ojczyzną jest Izrael, ale urodziłem się w Polsce. Uratowałem się z pogromu, walczyłem w powstaniu warszawskim, później uciekłem na Zachód. Przyjeżdżam tutaj każdego roku, bo tu są moje korzenie – moi dziadkowie pochodzili z Bełżyc. By złożyć hołd pomordowanym przyjeżdżają też moi synowie i przyjaciele.

Wczoraj do Bełżyc przyjechał też Daniel – najmłodszy, 4-miesięczny wnuk Ariava. To jego pierwsza wizyta w Polsce i na pewno nie ostatnia.

Władze miasta nie ukrywają radości z corocznych wizyt Ariava w Bełżycach. Za jego pieniądze wyremontowano już szkołę, wyposażono miejscowy szpital.

– Pan Ariav w 1990 roku wzniósł ogrodzenie kirkutu w Bełżycach – mówi **Bogdan Czuryszkiewicz**, burmistrz Bełżyc. – Później ufundował pracownię informatyczną w Zespole Szkół nr 1, opłacił wymianę okien w szkole, wreszcie zakupił sprzęt do diagnostyki serca dla naszego szpitala. Teraz wyposaży salę klubową w Domu Kultury w meble, aparaturę RTV i fortepian.

– Dlaczego to robię? Przez pamięć przodków, którzy w Bełżycach mieszkali przez kilkadziesiąt lat – mówi Izraelczyk.

Pierwsi Żydzi osiedlili się w Bełżycach na początku XVI wieku. W 1921 roku mieszkało tu 1882 Żydów. W 1945 roku nie było już ani jednego.

Maria Kolesiewicz

„Dziennik Wschodni", 11.10.2006, Maria Kolesiewicz.

jeszcze większe nieszczęście, bowiem był wtedy mord na ludności żydowskiej, który odbył się przy obecnej ulicy Tysiąclecia – z tyłu, za bożnicą, obok łaźni żydowskiej – tutaj hitlerowcy rozstrzelali bardzo dużo Żydów. Jak pan Ariav mi powiedział, miał on wtedy 15 lat i z grupką chyba 3 czy 5 swoich kolegów wywoził na taczkach zamordowanych na kirkut żydowski. Jak mi wtedy powiedział – to było u mnie w Urzędzie Miejskim: „Ja mniej więcej pamiętam, że to była ulica, która przy tym miejscu zbrodni biegła wzdłuż; szliśmy tą ulicą w kierunku południowo-zachodnim, następnie główną ulicą Bełżyc. Wieźliśmy te trupy na taczkach i wyjechaliśmy za Bełżyce, i było takie rozwidlenie: my pojechaliśmy prosto na ten cmentarz, a po prawej stronie – tak pan Ariav mówił – wydawało mi się, że tam cmentarz katolicki był". I faktycznie, przecież znając te Bełżyce wiedziałem, że ten człowiek mówi prawdę, którą wtedy po raz pierwszy usłyszałem od niego i tym się zaciekawiłem. I okazuje się – jak mi mój ojciec, już nieżyjący, opowiadał – że [ojciec] znał jedną z córek dziadka pana Ariava, z którą spotkałem się później, kiedy ona pewnego roku przyjechała na spotkanie rocznicowe, przywieziona przez pana Ariava. I później dopiero skojarzyłem, że to była ta dziewczynka, o której mój ojciec mówił, że nie raz bawili się i znał ją jeszcze ze szkoły.

Następnie wyszliśmy z mojego pokoju i poszliśmy na obecny teren obok Domu Kultury, i pan Ariav sobie przypomniał, że to było w tym miejscu, to rozstrzelanie, i pokazał mi, w którym kierunku wywozili tych ludzi. Faktycznie to było ulicą Tysiąclecia, następnie ulicą obecną Krakowską (dawniej się nazywała Urzędowska); i później, wzdłuż tej ulicy Urzędowskiej, doszli do skrzyżowania z obecną ulicą biskupa Wilczyńskiego i ulicą Kościuszki, i poszli na wprost. Wozili zwłoki tych pomordowanych właśnie na cmentarz żydowski, natomiast w prawo, rzeczywiście, przy ulicy Kościuszki, jest cmentarz katolicki. Dość długo rozmawialiśmy wtedy z panem Ariavem, a potem chciał się przejść troszkę wokół Rynku, więc ja go tak zapytałem: „Czy pan mniej więcej pamięta, w którym miejscu ten dziadek mieszkał?". On mówił: „Wie pan, dokładnie nie pamiętam, ale spróbujmy, jeśli pan ma czas". Oczywiście, że ja czas

znalazłem i przeszliśmy się wzdłuż całego Rynku. Kiedy szliśmy już tą pierzeją Rynkową od naszego kościoła, a więc tą stroną zachodnią Rynku, i kiedy zbliżaliśmy się już do skrzyżowania z ulicą Zieloną, pan Ariav mówi: „To gdzieś tutaj, w tym miejscu będzie". I doszliśmy prawie do skrzyżowania z ulicą Zieloną i pan Ariav mówi: „To tutaj mieszkał mój dziadek". Więc ja od razu też wtedy zapytałem: „Może spróbujemy porozmawiać z mieszkańcami Bełżyc na ten temat?" I wtedy zapytałem takich pań, rodowitych bełżyczanek, które sobie tam siedziały przy swoich domach, czy przypominają sobie rodzinę pana Ariava. On zaczął rozmawiać z nimi, i faktycznie te panie potwierdziły, że tutaj mieszkał dziadek pana Ariava. Więc potwierdziła się ta wersja, że rzeczywiście jest to człowiek, który związany jest z Bełżycami, ma tutaj swoje korzenie ze strony dziadków. Wtedy trochę bliżej się zapoznaliśmy – przedstawił mi, co robi, czym się zajmuje, powiedział, że chciałby od czasu do czasu przyjechać do Bełżec. Zapytał, czy mógłby ewentualnie, jeśli oczywiście bym tam wtedy pracował, przychodzić do mnie, wspominać, może ewentualnie swoją rodzinę przywozić, pokazywać. Więc oczywiście zapewniłem, że zawsze będzie mile tutaj widziany jako były mieszkaniec Bełżyc, który tej swojej historii się nie wstydzi, a wprost odwrotnie. Później potoczyły się tak jego losy dalsze, że bardzo mocno związał się z Bełżycami.

Warto też opowiedzieć o tym, że pan Ariav, jak był na cmentarzu, postanowił doprowadzić do jego zabezpieczenia. W związku z tym podjął pewne działania i również z pana pomocą je zrealizował. Czy mógłby pan opowiedzieć o tym właśnie, kiedy pan się w ogóle dowiedział, że on ma takie zamierzenie? Czy on postanowił to tego pierwszego dnia, kiedy poszliście razem na ten cmentarz?

To jest dalsza historia. Pan Ariav w następnym roku przyjechał ze swoimi synami – jeden może miał ze 22 lata, drugi młodszy był. Przyszli do mnie, powiedział, że przywiózł swoich synów, których chce zapoznać ze swoją historią i z historią swojej rodziny w Bełżycach.

Poprosił, czy mógłbym ich zawieźć na ten cmentarz żydowski, na miejsce pochówku jego dziadków. Oczywiście pojechaliśmy tam i on pokazał to miejsce tym swoim synom. Pamiętam – to mi mocno utkwiło i mam ten widok w swoich oczach ciągle – poprosił mnie o taką rzecz, mówi: „Panie Abramowicz, czy ja mógłbym chwilę ze swoimi synami porozmawiać?" Nie krępowałem [ich] swoją osobą, odszedłem sobie na bok. A on tak objął tych synów obiema rękami, głowy przytulili do siebie i dość długo, może około 5 do 10 minut, coś im tam opowiadał, tłumaczył. I chyba wtedy zapadła ta decyzja, że oni to będą chcieli odbudować. Ja do dzisiaj to pamiętam. Od razu też sobie pomyślałem, jako ojciec rodziny, jak ja bym zareagował – czy nie tak samo, gdybym był na jego miejscu. Później wróciliśmy do mnie, do Urzędu Miejskiego, zaczęliśmy dalej rozmawiać. I on wspomniał mi, czy mógłby robić starania o trwalsze zabezpieczenie tego terenu. Więc ja mu powiedziałem (przypominam, to była końcówka lat 80. – wiemy, jak to się wtedy odbywało), że nie mam uprawnień, żebym ja tutaj o tym decydował, i że jeśli się zgodzi, mogę podjąć rozmowy w Urzędzie Wojewódzkim na ten temat. On mi powiedział, że broń Boże, on nie chce tutaj robić czegoś na siłę. Mówi: „Panie Abramowicz, ja to bym chciał jedno: tu nie będzie żadnego pomnika, chcę żeby tutaj jakimś takim murem ogrodzić to wszystko. Natomiast ewentualnie taką tabliczkę bym umieścił od wewnątrz: że to jest miejsce pochówku mojego ojca i to jest miejsce pamięci dla mnie jako mieszkańca Lublina, później Bełżyc, i tego chłopaka 15-letniego, który tam wywoził tych pomordowanych. Ewentualnie, jeśli ktoś z innych Żydów by wiedział, że tutaj też są pochowani z jego rodziny, to niech sobie obok też małą tabliczkę umieści, żeby to miejsce się utrwalało". Jak mu obiecałem, powiadomiłem ówczesnego wojewodę lubelskiego, że coś takiego jest i czy ja mogę być w kontakcie z Urzędem Wojewódzkim, czy jest takie coś możliwe. Więc mnie prosił, że on też rozezna tę sprawę, i żeby za kilka dni się spotkać i porozmawiać na ten temat. Po kilku dniach oddzwonił i powiedział mi w ten sposób: żeby ten pan formalnie zaczął robić starania przez Komitet Walki i Męczeństwa i że zgoda władz wojewódzkich

– i tym sposobem i miejskich – na to będzie. Ja mu za jakiś czas przekazałem tę wiadomość, że może rozpocząć takie starania, i on upoważnił do takich częstych kontaktów roboczych pana redaktora Mariana Turskiego z „Polityki". Powoli, powoli zaczęły te prace się przygotowywać i wtedy, kiedy faktycznie, po tych staraniach, on otrzymał możliwość utrwalenia i ogrodzenia tego miejsca historycznego, to rozpoczął starania o pozwolenie na budowę tego ogrodzenia. Rozpoczęły się takie kontakty robocze ze mną jako naczelnikiem ówczesnym miasta i gminy Bełżyce, i przeze mnie, z władzami wojewódzkimi. I powoli, powoli zaczęła się ta budowa, uporządkowanie tego terenu. Jeśli sobie dobrze przypominam, to chyba w październiku '90 roku było takie uroczyste spotkanie z okazji zakończenia tych prac.

Jak zareagowali na te działania mieszkańcy Bełżyc?

Muszę powiedzieć, że spotkało się to w Bełżycach z takim oddźwiękiem bardzo pozytywnym – bo my, jako mieszkańcy Bełżyc, i ja jeszcze, jako młody człowiek, wtedy chłopak, to niejednokrotnie spotykaliśmy te macewy. I co się okazało: że wtedy, kiedy zaczęła się budowa tego miejsca – pomnika pamięci pomordowanych Żydów, ludzie zaczęli [je] zwozić ze swoich gospodarstw, albo gdzie widzieli, że są te macewy, i tych kilkanaście macew dzisiaj jest. Muszę powiedzieć, że do dzisiaj jest to takie miejsce, które godnie jest czczone i honorowane – zarówno przez ludność żydowską, która przyjeżdża przy tych okazjach, które pan Ariav co roku odbywa, jak również przez ludność bełżycką. Był tylko jeden taki niedobry przypadek, gdzie troszkę zbezczeszczono, zerwano litery – ale podejrzewam, że coś takiego zrobił człowiek nieodpowiedzialny, któremu pewnie brakowało na piwo. Natomiast jest to położone przy obecnej ulicy Przemysłowej, gdzie znajduje się Zespół Szkół Rolniczych, i jest to powszechnie szanowane, czczone, i młodzież z Zespołu tej szkoły ma opiekę nad tym miejscem. Cieszę się, że jest ono traktowane jako jedno z miejsc historycznych bełżyckich, szanowanych, tak jak cmentarz nasz, katolicki. Spotkania, jakie pan Ariav odbywa z młodzieżą, z ludźmi, z dziećmi, pozytywnie się wkomponowują w to życie codzienne w Bełżycach. Muszę panu

Nimrod Ariav z rodziną na cmentarzu żydowskim w Bełżycach.
Fot. Piotr Sztajdel, 2006.

Nimrod Ariav składa kwiaty na kirkucie w Bełżycach.
Fot. Piotr Sztajdel, 2006.

powiedzieć, że podczas tych spotkań na początku lat 90., to bardzo często przychodzili ludzie i pan Ariav z nimi rozmawiał. Mówili mu – tak jak mój ojciec kiedyś mi wspominał – gdzie mieszkała jego rodzina, nawet i dalsza rodzina; pan Ariav mi później o tym mówił. Przypominam sobie szczególnie te pierwsze lata 1990-1995, że bardzo często spora grupa bełżyczan tam przychodziła, ale w ostatnim okresie odbywają się te spotkania praktycznie tylko z udziałem najbliższej rodziny i przyjaciół pana Ariava. No i oczywiście władze w tym uczestniczą.

No właśnie, miałem okazję wziąć udział kilka lat temu w tych uroczystościach, i pamiętam, że takich zwykłych, w cudzysłowie, typowych mieszkańców Bełżyc chyba nie było. Tak że mnie to tak zastanowiło, czy to jest uroczystość organizowana tylko dla przyjaciół, rodziny pana Ariava, ewentualnie władz miasta, czy dla mieszkańców Bełżyc.

Ja to tak skomentuję: domyślam się, że pan tutaj był pewnie albo pod koniec lat 90., albo na początku już obecnego stulecia. Tutaj nie było robionych uroczystości poświęconych Żydom czy jakiś wspólnych uroczystości polsko-żydowskich, bo pan Ariav sobie tego nie życzy. On powiedział, że chce skromnie: nie chce tutaj robić czegoś takiego pod publiczkę – to jest jego prywatna sprawa, jego przyjaciół; chce to po prostu utrwalić, jako miejsce, gdzie będzie mógł przyjeżdżać na cmentarz swoich bliskich z rodziny. I tak to traktowaliśmy. I te pierwsze spotkania, o których wspomniałem, to ja też to traktowałem raczej jako taką troszkę ciekawostkę dla bełżyczan: jak to się odbywa, co to jest, kto to jest przede wszystkim – bo oni w rozmowach prywatnych wiedzieli, gdzie która rodzina żydowska mieszkała; z nazwiska mówili, jak wtedy wspomniałem, kto to jest pan Ariav, bo jego mniej więcej znali, mniej jego rodzinę, ale ze strony dziadka to już znali doskonale. I właśnie ci ludzie zaczęli się wtedy z panem Ariavem kontaktować, rozmawiać z nim przy tej okazji, jak tu przyjeżdżał – i w związku z tym, takie to było spontaniczne. Ale, jak mówię, to było na początku tego wszystkiego, a później

już coraz mniej, coraz mniej. Obecnie to są takie rodzinne spotkania przyjaciół pana Ariawa, tylko w rocznicę mordu. Myślę, że tak jest dobrze. Jestem zapraszany corocznie i staram się też co roku być, brać udział w tym jako ten, który jest trochę związany z tym wszystkim, i cieszę się, że mogłem się włączyć. I jest to kawałek historii Bełżyc zabezpieczony, i można o tym poczytać w różnego rodzaju publikacjach książkowych i innych opracowaniach.

Proszę opowiedzieć o dalszej współpracy z panem Nimrodem Ariavem – na odbudowie cmentarza żydowskiego jego obecność w Bełżycach się przecież nie zakończyła.

Kiedy pan Ariav starał się o pozwolenie na budowę i ogrodzenie tego cmentarza, wtedy wspomniał, że pomimo jego losów – bo było mu bardzo ciężko, ale poprzez swoją ciężką pracę dorobił się majątku – jest człowiekiem bogatym, jest człowiekiem światowym, dobrze mu się żyje. Jak powiedział: „Ja pieniądze mam i chcę Bełżycom pomagać, jeśli będziecie uważali za stosowne, wtedy, kiedy będziecie mieli potrzeby, chętnie was wspomogę". I ja, trzymając się tej jego wypowiedzi, po zakończeniu tej inwestycji – dla mnie to była trochę inwestycja w ramach miasta Bełżyce, bo przecież to w Bełżycach się działo, za jego pieniądze – nie śmiałem go prosić o jakiekolwiek wsparcie, ale sam wspomniał, że chciałby Bełżycom pomagać. Pierwsze takie działanie z mojej strony – przyznaję szczerze, że było to bardzo trudne dla mnie – to było wtedy, kiedy była pilna potrzeba zakupienia rentgena dla ZOZ-u bełżyckiego, konkretnie dla szpitala. I wtedy wpadła mi taka myśl, że może by pan Ariav coś takiego zakupił. Poprosiłem go i faktycznie zakupił aparat rentgenowski izraelskiej produkcji i taki rentgen mieliśmy – on chyba do dzisiaj jest. Korzystaliśmy wszyscy jako pacjenci ZOZ-u i szpitala bełżyckiego. Za to nie chciał żadnego podziękowania, ale poczuliśmy się w obowiązku i przy tym rentgenie była i jest chyba zrobiona – jeśli on jeszcze tutaj jest – tabliczka mosiężna z napisem, czyj to jest dar. Chodziło mi o jedno: żeby pokazać, że ten człowiek, niby obcy, ale jednak związany z Bełżycami, dał swoje pieniądze i tym sposobem,

Nimrod Ariav w otoczeniu rodziny i przyjaciół przed cmentarzem żydowskim w Bełżycach.
Fot. Agnieszka Wiśniewska, 10.10.2006.

Nimrod Ariav na kirkucie w Bełżycach.
Fot. Agnieszka Wiśniewski, 10.10.2006.

nie czekając na jakieś podziękowania, kupił to, wspomógł nas jako pacjentów. Kolejna pomoc z jego strony to, dla przykładu: pracownia komputerowa w Zespole Szkół przy ulicy biskupa Wilczyńskiego, pracownia komputerowa w Zespole Szkół imienia Mikołaja Kopernika, pomoc w zakresie ocieplenia i wymiany stolarki okiennej w Zespole Szkół przy ulicy biskupa Wilczyńskiego, zakup samochodu, kolejne pieniądze na zakup sprzętu dla szpitala w Bełżycach. Praktycznie co roku pan Ariav zostawia jakieś środki, daje na pilne potrzeby związane z miastem Bełżyce. Wiem, że nigdy nie odmówił takiej pomocy i wiem, że dalej nie odmawia, natomiast jakie to były środki, na co w szczegółach zostały przeznaczone, to wolałbym żeby to pan Ariav się wypowiadał bądź ewentualnie inni burmistrzowie, którzy kierowali życiem bełżyckim od '90 roku. On się czuje mieszkańcem i na to go stać – i on te środki, większe czy mniejsze, zawsze daje. Ja starałem się, by w swoich prośbach skromnych, zawsze mu mówić, co chcemy zrobić, jakie pieniądze to ma kosztować – i widziałem z jego strony, że cieszył się, że może nas wesprzeć. Uważam, że wszystko jedno, kto będzie burmistrzem w Bełżycach, jaki będzie skład Rady, powinniśmy go tutaj zawsze witać jako tego – jak ja to nazywam – dobrodzieja Bełżyc. Z tych spotkań corocznych widzę, że już bardziej w to angażuje swoich synów, szczególnie pana Ariela mocno angażuje w to, żeby kontynuował to jego dzieło. Jego synowie ciągle podkreślają, że tak jak ojciec tutaj rozpoczął, tak oni będą tę współpracę z Bełżycami kontynuować i będą starać się co roku przyjeżdżać.

Cieszę się też, że pan Ariav dał się namówić i otworzył się trochę szerzej, chociaż jako człowiek bardzo skromny mówił, że nie potrzebuję rozgłosu. Ja go sam namawiałem: tak ciekawe, ale tragiczne są jego losy. Jego osobiście i jego rodziny, a szczególnie jego – przecież wiemy, że uczestniczył w powstaniu warszawskim. Tylko raz, z tego co wiem, spotkał się z młodzieżą, ale uważam, że powinien to częściej przekazywać, bo to jest żywa historia – oprócz naszych kombatantów, żeby wszyscy wiedzieli, że i coś takiego z jego strony też miało miejsce.

Chciałem teraz zadać panu takie pytanie z gatunku: co by było, gdyby. Co by było, gdyby pan Ariav wtedy się nie zjawił i gdyby nie przyszedł do pana, gdyby pana Ariava nie było?

Gdyby pan Ariav się nie zjawił i pana Ariava nie było, to prawdopodobnie byłoby tak, jak było to do roku '90. Ten plac był ogrodzony, było ogrodzenie z siatki, był traktowany, jako jeden z terenów miejskich, ale wątpię, czy znalazłyby się środki, czy ktoś by się zainteresował tym, jakaś inicjatywa powstała, że ot zróbmy coś takiego jak w tej chwili, kiedy to było za pana Ariava. Teraz są troszeńkę inne czasy, gdyby jakieś środki były, to może jakiś taki mały obelisk, taki na wzór tego, co jest przed Domem Kultury obecnie, by tam się może znalazł. Dodatkowo jeszcze, ale myślę, że chyba czegoś takiego w postaci takiego muru, takiego pięknego i właściwego zabezpieczenia terenu ludzi tam najpierw pomordowanych, a później pogrzebanych, to chyba by nie było, mówię – chyba, zastrzegam się, bo ja nie wiem, nigdy na ten temat nie myślałem.

Na zakończenie naszej rozmowy proszę powiedzieć, co pan czuł wtedy będąc na tym cmentarzu i widząc reakcję pana Ariava – i w ogóle, po usłyszeniu całej tej historii?

Czułem wielki szacunek dla niego, skrępowanie ze swojej strony i to, o co pan mnie między wierszami tu zapytał. Pan wprost tego pytania nie zadał. Troszeczkę żałowałem, że myśmy – jako mieszkańcy i władze – wcześniej sami nie podjęli takiej inicjatywy zabezpieczenia właściwego. Bo to jest nasza historia, historia Bełżyc. Ja tylko się cieszę, że mogłem mu pomóc, i że to się wszystko tak ułożyło i tak się układa.

Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

Otwarcie pracowni komputerowej w Zespole Szkół nr 1 w Bełżycach.
Fot. ze zbiorów Bogdana Abramowicza, Bełżyce, 08.10.1996.

Rozmowa z panem Zenonem Madzelanem (ur. 1959 w Majdanie Skrzynieckim), wójtem gminy Borzechów (koło Bełżyc).

Proszę powiedzieć, w jaki sposób zainteresował się pan sprawą cmentarza żydowskiego w Bełżycach i historią Żydów w Bełżycach?

Problematyka żydowską zająłem się dość wcześnie. Było to na początku szkoły średniej. Ale jak pamiętam, to już wcześniej docierały do mnie komentarze rodziców, że Żydom stała się w 1968 roku krzywda. Zostali kilkadziesiąt lat po wojnie wypędzeni z kraju.

Moi rodzice, rocznik 1914 i 1917, znali Żydów w okresie międzywojennym i jeszcze późniejszym. Mieli o nich bardzo dobre zdanie. Jednak dopiero po stanie wojennym, kiedy w Polsce zaczęto wydawać w dużych nakładach licznych pisarzy pochodzenia żydowskiego, pokazywać niezależne badania i oceny historyczne, moje zainteresowania sprawami kultury, literatury żydowskiej przybrały jeszcze bardziej realny kształt.

Na tym tle bardzo mnie interesowały Bełżyce. Co po Żydach zostało? Czy ktoś z dawnych mieszkańców to miasteczko odwiedza? Próbowałem, a był to chyba 1984/1985 rok, nawiązać kontakty ze starszymi mieszkańcami. Jednak poza wymienianymi – z coraz większym trudem – nazwiskami byłych mieszkańców, urywanymi historiami, nic wartościowego nie mogłem się dowiedzieć. Zresztą mieszkańcy – później takie wrażenie odniosłem – niechętnie reagowali na moje pytania. Dlatego z dużym zainteresowaniem przyjąłem informację pana Bogdana Abramowicza, ówczesnego Naczelnika Miasta i Gminy Bełżyce, że przyjedzie do Bełżyc pan Cygielman z panem Marianem Turskim z „Polityki". Zainteresowania obu panów miały skupić się na odbudowie cmentarza żydowskiego (kirkutu). W czasie pierwszego spotkania, a był to 1989 rok, dowiedziałem się, że pan Cygielman nazywa się Ariav (nazwisko zmienił w Izraelu). Ojciec jego pochodzi z Lublina, matka, z domu Wajsbrodt, z Bełżyc. Jego dziadka nazywano „Szlamianka". Prowadził sklep bławatny. Z wcześniejszych

opowieści wiedziałem, że rodzina Szlamianki miała bardzo duże poważanie w społeczności Żydów bełżyckich.

W trakcie tego samego spotkania dowiedziałem się, jakie są plany odnowy cmentarza. Miał być on ogrodzony specjalnym parkanem, wykonanym z kamienia przywiezionego ze Szwecji, i pokryty czerwona dachówką. Wejście zaś, oprócz podłużnego parkanu, miało posiadać kształt owalny, na którym z białego kamienia zostanie wkomponowany kształt drzewa oliwnego. Wewnątrz cmentarza zaplanowano postument z granitu, niewielki, utwardzony z kamieni polnych plac, a od środka, na wspomnianej ścianie owalnej, postanowiono zapisać, w języku polskim i hebrajskim, w odlanych z brązu literach, historię Żydów bełżyckich, którą miał napisać pan Marian Turski.

Budowa cmentarza posuwała się w bardzo szybkim tempie. Wszystko odbywało się pod nadzorem architekta Gąsiora, znajomego pana Ariava, z czasów Powstania Warszawskiego.

W tym czasie pan Marian Turski, o czym niewiele osób wie, nakręcił film o jego budowie, utrwalając dla potomnych najważniejsze sceny z jego powstawania. Szukał także informacji o tym, co zostało ze środowiska Żydów bełżyckich. Spotkaliśmy się wspólnie z kilkoma, może z kilkunastoma mieszkańcami miasteczka. Próbowaliśmy szukać zdjęć, książek, menor, macew, czegokolwiek, co by świadczyło o bogatej tradycji żydowskiej. Znaleźliśmy jednak niewiele. Trochę zdjęć, kilka ustnych relacji. W swych poszukiwaniach trafiliśmy na przykład do pana C. – miał prosty świecznik żydowski. Oczywiście chciał za niego duże pieniądze. Wyłożył je pan Ariav, pragnąc posiadać jakąkolwiek pamiątkę z Bełżyc.

Trafiliśmy także na bardzo wzruszające rzeczy. Pan..., chociaż nie warto jego nazwiska wymieniać (zachowywał się jak typowy antysemita), posiadał znaczną ilość książek do szkoły podstawowej, chyba 6 lub 7 klasy, napisanych po hebrajsku i w jidisz. Chciał za nie sowitą zapłatę. Były to jednak na pewno książki, które należały do dzieci zamieszkałych w tej kamienicy, a zamordowanych w czasie wojny.

Tak jak powiedziałem wcześniej, budowa cmentarza posuwała się szybko. W miesiącu październiku 1989 roku pan Ariav, wraz z rodziną, przyjaciółmi oraz władzami samorządowymi, postanowił urzeczywistnić swoje marzenie z czasów wojny. Odnalazł cmentarz, gdzie w 1942 roku pochował ojca, odbudował go i mógł spokojnie odmówić kadisz za zamordowaną rodzinę oraz Żydów bełżyckich. W uroczystościach wzięła udział liczna grupa Żydów, kilkunastu mieszkańców Bełżyc oraz komplet władz samorządowych. Wydarzenia zostały odnotowane na filmie pana Turskiego oraz w lokalnej gazecie. Mój udział w uroczystościach ograniczył się do tego, że udało mi się znaleźć i przywieźć na cmentarz fragmenty trzech rozbitych macew, które do tej pory, jako jedyne pamiątki po byłym kirkucie, znajdują się na utwardzonym placu wewnątrz cmentarza.

Jakie wrażenie na panu sprawił pan Nimrod Ariav?

Od samego początku wydawał mi się osobą bardzo interesującą, otwartą, życzliwą.
Wiem, że w 1963 roku przyjechał do Polski i podjął próbę odnalezienia cmentarza, na którym pochował swojego ojca. W Bełżycach został bardzo źle potraktowany. Do Polski wrócił dopiero w 1988 roku, nie zachowując urazy do mieszkańców ani władzy samorządowej. Bardzo dobrze mówi po polsku. Podczas swych corocznych przyjazdów w miesiącu październiku, a niekiedy i częstszych, interesuje się sprawami miasta i ich mieszkańców. Wspierając głównie oświatę i służbę zdrowia, stał się jednym z największych prywatnych darczyńców w historii miasta i gminy Bełżyce. Pomimo niekiedy bolesnych doświadczeń z Polską i Polakami w czasie wojny, a także po jej zakończeniu, mam nadzieję, że pan Ariav jest z naszym krajem głęboko związany, ma tu przyjaciół, a z tego co wiem, jeden z jego synów pracuje zawodowo w Warszawie, ma żonę Polkę. Zastanawia mnie – a mogę się w tej ocenie mylić – niewielkie zainteresowanie mieszkańców, a szczególnie młodzieży, osobą pana Ariava. On i jego rodzina stanowią wielką, pozytywną historię tego miasteczka. Jego otwartość, zaangażowanie społeczne (finansuje np. w Izraelu kilkadziesiąt stypendiów dla uzdolnionej

FOT. JACEK MIROSŁAW

Tu krzyczy cisza...

W każdą rocznicę śmierci ojca Nimrod S. Ariav przyjeżdża do Bełżyc wraz z rodziną i grupą kilkudziesięciu przyjaciół z całego świata. Wczoraj złożyli kwiaty u stóp tablicy upamiętniającej zagładę Żydów w Bełżycach i na tamtejszym kirkucie.

– 2 października 1942 roku, na miejscu, gdzie stała synagoga, wśród 150 rozstrzelanych Żydów był mój ojciec – wspomina Ariav. – Ja uratowałem się z pogromu, walczyłem w powstaniu warszawskim, później uciekłem na Zachód. Przyjeżdżam tutaj, bo stąd moje korzenie. I dlatego, żeby złożyć hołd pomordowanym. Przyjeżdżają ze mną moi synowi. Pierwszy raz jest także najmłodszy wnuk.

Nimrod S. Ariav w 1990 roku wzniósł ogrodzenie kirkutu w Bełżycach, na którym – jak mówi – „nie ma macew, bo tu krzyczy cisza" (MAD.)

„Dziennik Wschodni" 06.10.2004, (MAD).

młodzieży), pozycja materialna i olbrzymie doświadczenie biznesowe, powinny znaleźć dużo większe uznanie.

Może nawiążę do tego, co pan przed chwileczką powiedział o tym braku spotkań pana Ariava z młodzieżą bełżycką. Czy to nie jest tak, że pan Ariav traktuje te spotkania jako takie – powiedziałbym – prywatno-rodzinno-przyjacielskie? Czy on tam nie chciał, powiedzmy, żeby większa liczba osób w tym uczestniczyła?

Wiem tylko o dwóch spotkaniach pana Ariava z młodzieżą. Jedno odbyło się w Bełżycach, a drugie w Teatrze NN, w Bramie Grodzkiej. Październikowy pobyt rodziny i przyjaciół pana Ariava na cmentarzu i pod pomnikiem w Bełżycach jest historią, z której powinni czerpać wszyscy, a szczególnie ludzie młodzi. Tolerancji, szacunku dla zmarłych, przywiązania do tradycji, wiedzy o narodzie, który żył w Rzeczpospolitej kilkaset lat, i ponad 400 lat w Bełżycach bardzo trudno nauczyć się z podręczników szkolnych.

Podam bełżycki przykład pojmowania historii. Po Żydach w naszym miasteczku pozostał bardo skromny, kamienny obelisk, w lecie zarastający trawą, oraz kirkut, całkowicie odbudowany przez pana Ariava. I tylko tyle. Gdyby nie cmentarz, o społeczności Żydów bełżyckich, świadczyłby tylko ten jeden kamień. Ale pozostawili oni coś więcej. Swoje pięknie brzmiące nazwiska, domy, meble, warsztaty pracy, rozwinięty handel, usługi, stworzyli podstawową infrastrukturę miejską. Zostawili także bogatą tradycję religijną. Może inną od naszej, za wyznawanie której byli całymi wiekami prześladowani, by w 1942/43 roku, w zupełnej samotności, przy dużej obojętności społeczeństwa, zginąć.

Z drugiej strony, w najlepszym punkcie miasta, mamy olbrzymi monument, chwalący nasz czyn zbrojny w czasie Powstania Warszawskiego. Swoista pochwała tragicznego zrywu narodowego. Możemy więc w nieskończoność upamiętniać swe heroiczne narodowe czyny w mie-

ście Bełżyce, ale nade wszystko powinniśmy pamiętać o swoich współobywatelach, którzy od podstaw, mozolną pracą tworzyli nasze miasteczko.

Proszę powiedzieć, jak zareagowały władze miasta oraz zwykli mieszkańcy Bełżyc na inicjatywę odbudowy cmentarza żydowskiego oraz na samą osobę pana Nimroda Ariava?

To bardzo ciekawa sprawa. Jeśli chodzi o cmentarz, to nie było jakiś negatywnych komentarzy. Władze zareagowały bardzo pozytywnie. Dzięki panu Ariavowi powstał piękny, jeden z nielicznych odbudowanych cmentarzy żydowskich w Polsce. On sam wzbudzał na początku spore zainteresowanie. Chodziło głównie o to, kiedy zacznie się interesować pozostawionym przez rodzinę majątkiem. Ale jego to nigdy nie interesowało. Zawsze pytał, co można dobrego dla naszego miasteczka zrobić. Nie interesowały go roszczenia majątkowe.

Niech pan powie, co by było, gdyby pan Ariav któregoś dnia nie zjawił się w Bełżycach, gdyby pana Ariava w ogóle nie było? Co by się działo z terenem cmentarza w Bełżycach i z Bełżycami?

Dobre pytanie. To hipotetyczna sytuacja. Nie przyjedzie pan Ariav, nie przyjadą synowie, nikt nie płaci za utrzymanie cmentarza. Wszystko zależy od postawy władzy. Myślę, że mądra władza samorządowa z takim skromnym problemem sobie zdecydowanie poradzi. Ale jestem także przeświadczony, że znajdzie się 5, 20 mieszkańców Bełżyc, którzy – gdy zajdzie taka potrzeba – wezmą całą odpowiedzialność za utrzymanie cmentarza i przekazywanie o nim i nieistniejącym środowisku żydowskim pamięci.

Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

Rozmowa z panem Janem Kwiatkowskim (ur. 1940 w Jaroszewicach), burmistrzem Bełżyc w latach 1994-2002, przez 7 lat pełniącym funkcję zastępcy naczelnika miasta i gminy Bełżyce; obecnie radnym Rady Powiatu Lubelskiego.

Jak pan zapamiętał pierwszy przyjazd pana Ariava Nimroda do Bełżyc? Był pan wtedy zastępcą naczelnika miasta i gminy Bełżyce.

Jak sobie dobrze przypominam, pierwsze spotkanie było chyba w roku 1987. Wiem, chociaż w tej rozmowie nie uczestniczyłem, że pan Ariav zwrócił się do pana Abramowicza z prośbą, czy nie mógłby mu wskazać miejsca, gdzie spoczywa jego ojciec. Pan Abramowicz był zorientowany, na pewno udzielił cennych wskazówek – i to jest ten pierwszy nasz kontakt. Po odnalezieniu tego cmentarza, pan Ariav postawił sobie za punkt honoru, żeby to miejsce, przypominające bardziej las, a nie cmentarz, doprowadzić do porządku. I w ciągu kilku kolejnych lat powstał z prawdziwego zdarzenia cmentarz żydowski – kirkut. Jest zrobione bardzo piękne ogrodzenie, a wewnątrz jest upamiętniony odpowiednimi pomnikami, macewami, tam gdzie znajdują się groby. I każdego roku od tamtego czasu – czyli, moim zdaniem, od 1987 roku – pan Ariav razem ze swoją liczną rodziną, z przyjaciółmi przyjeżdża, żeby oddać hołd swoim rodzicom i pomordowanym Żydom, którzy spoczywają na tym cmentarzu.

Proszę opowiedzieć o swojej współpracy z panem Nimrodem Ariavem.

Taka już większa znajomość z panem Ariavem w moim przypadku datuje się od roku 1994, gdy zostałem burmistrzem tego miasta. Każdego roku pan Ariav przyjeżdżał i spotykaliśmy się. Wyglądało to w ten sposób, że jego pełnomocnik umawiał nas co do dnia przyjazdu, omawialiśmy szczegóły naszego spotkania i pan Ariav zjawiał się w grupie około 20 osób. Zawsze była z nim żona, dwóch synów. Nasza rozmowa nie polegała tylko na tym, że wymieniliśmy grzecznościowe jakieś poglądy, tylko pan Ariav tak po ojcowsku pytał nas: „Co dobrego słychać w waszej gminie, jak jest z budżetem, jak realizujecie go, jak realizujecie inwestycje?"

Po prostu żył tymi sprawami, którymi na co dzień się żyje w naszej miejscowości. Jestem pełen podziwu, w jaki sposób grupa pana Ariava – rodzina i przyjaciele – przychodziła do tego miejsca pamięci, gdzie w zadumie modlili się nad swoimi przodkami, a później rozmawialiśmy o tym, co łączy nasze dwa narody. To są niezapomniane przeżycia. Ja sądzę, że ta znajomość to nie tylko taka zwykła znajomość. Ona każdego roku przeradzała się w taką zażyłość, nawet – ośmieliłbym się powiedzieć – w pewnego rodzaju przyjaźń, dlatego że czuć było to ciepło emanujące od pana Ariava, to zainteresowanie wszystkimi naszymi sprawami, a nade wszystko, tę jego dobroć, no i – trzeba szczerze powiedzieć – hojność, bo przyznam, że przez te dwie kadencje, przez 8 lat, kiedy współpracowaliśmy, jego hojność w stosunku do jego dawnego miasta, dla Bełżyc była bardzo duża. To są dary człowieka wielkiego serca, który nie robił tego z jakiegoś wyrachowania, tylko z czystej przyjaźni i życzliwości. Tak jak powiedział kiedyś – czuje się obywatelem świata, ale najbardziej Żydem, Żydem polskim, a jeszcze ściślej mówiąc, Żydem bełżyckim. Te słowa utkwiły mi głęboko w pamięci i wiem, że te wszystkie jego dobre czyny, które za nim pójdą w daleką przyszłość, świadczą o jego dobroci, dobrym sercu, i o tym, w jaki sposób podchodzi do swoich dawnych rodaków, wszystkich mieszkańców Bełżyc.

Może cofnijmy się do początku lat 90., kiedy on rozpoczął odbudowę tego cmentarza. Proszę powiedzieć, jak do tego podchodzili mieszkańcy Bełżyc, co oni myśleli o takim fakcie, że ktoś przyjechał i coś robi na cmentarzu?

Powiem szczerze, że spotkało się to z wielkim takim zaciekawieniem społeczeństwa. Starsi ludzie, którzy pamiętali czasy przedwojenne, mieli świadomość, że jest to człowiek, który wcześniej tu ze swoją rodziną był, który przeżył te groźne chwile w czasie okupacji. Były też po cichu takie głosy, czy aby ktoś w międzyczasie nie będzie próbował wyszukiwać swojego mienia. Ale to bardzo sporadycznie. Po 2 czy 3 latach, kiedy pan Ariav przyjeżdżał tutaj

– najpierw uroczystości były pod domem kultury, przy tym pomniku, a później na cmentarzu przy ulicy Przemysłowej – to bardzo dużo mieszkańców wychodziło na ulicę, oglądało i z życzliwością się do niego odnosiło. A były takie przypadki, pamiętam, że przychodzili ludzie w wieku pana Ariava, który wtedy miał siedemdziesiąt parę lat, i przypominali mu babkę, Szlamiankę, którą jako bardzo szlachetną osobę wspominali. I szczere rozmowy były między nimi prowadzone, także myślę, że klimat tych jego wizyt i postrzeganie ich przez mieszkańców miasta były dobre. Zresztą ja nie pamiętam, żeby u nas na tym tle narodowościowym były jakiekolwiek zamieszki. Ja osobiście tych spraw nie mogę pamiętać, ale pewnie by mi rodzice czy dziadkowie to przekazali. Myślę, że Bełżyce z tego na pewno nie zasłynęły w tym złym sensie, że jakieś tego typu sprawy tu były.

Niech pan powie, czy pana zdaniem władze Bełżyc wykorzystywały, czy wykorzystują nadal w stu procentach fakt, że ktoś taki jak pan Ariav interesuje się Bełżycami i chce z Bełżycami współpracować?

Mam nadzieję, że ten przyjazny układ między panem Ariavem, jego rodziną i gronem przyjaciół a władzami miasta utrzymywał się będzie w dalszym ciągu tak, jak to było za czasów, kiedy ja tam przebywałem przez te dwie kadencje, natomiast nie znam szczegółów. Sądzę, że obecna władza na pewno jest tym zainteresowana, żeby w dalszym ciągu podtrzymywać tę miłą znajomość, dobrą, a przede wszystkim tak korzystną dla miasta. Sądzę, że opieka nad cmentarzem ze strony Zakładu Gospodarki Komunalnej i obecnych władz jest na pewno dobra i wystarczająca – tam jest porządek, tam jest zadbane i miejmy nadzieję, że w dalszym ciągu tak będzie.

Moje ostatnie pytanie, takie z gatunku „co by było gdyby". Wyobraźmy sobie, że w roku 1987 pan Ariav nie przyjeżdża do Bełżyc, że w ogóle pana Ariava nie ma, proszę powiedzieć, co to by znaczyło dla kirkutu żydowskiego i dla Bełżyc, jeżeli pan Ariav nigdy by się nie pojawił w Bełżycach?

Byłoby wielką szkodą gdyby w Bełżycach pan Ariav się nie pojawił. A co by się stało z tym cmentarzem? Myślę, że nigdy by taki obiekt, jak w tej chwili jest przy ulicy Przemysłowej nie powstał, no bo to jest sprawa wymagająca wiele serca, nie mówiąc już o nakładach finansowych. Na pewno nikt by tego miejsca nie lekceważył, ale być może przez kolejne lata mogłoby to ulec zapomnieniu.

Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.

Relacja Marianny Ostrowskiej (ur. 1922) z Radawczyka koło Bełżyc

Żydzi w Bełżycach

Często, prawie codziennie, przychodzili z Bełżyc. A Bełżyce z 8 kilometrów, 9 może. Przychodzili, handlowali, a to ciele kupić, a to wosk kupić, a to kasze, mak, albo coś – takie rzeczy kupowali. Jak ktoś miał więcej sadu trochę, to kupowali sad na dwa lata, godził się z gospodarzem. Bo teraz to jakoś tak wychowane te drzewa są, że rodzą co rok, a kiedyś to co drugi rok prawie rodziły. A potem przyjeżdżał, przywoził żonę z dziećmi w lecie. Robili sobie budę taką ze słomy, jak namiot, siedzieli, zbierali te jabłka. Żyd tam konia jakiego miał, wywoził, gdzieś sprzedawał. I tak kręcili się tutaj po wsi.

Tam [do Bełżyc] się jeździło, bo do krawca się jeździło, tutaj nie było takiego. Tutaj przyjeżdżał taki Szmul, drugi Szajas, z tych co u nas byli, Fersztmani się nazywali. To oni tam cielętami handlowali, [można było] krowę kupić czy coś. Pośredniczyli dla dworu. Dwór miał takiego swojego pachciarza. Pamiętam, przyjeżdżał kiedyś do ojca dworski taki dziedzic krowę kupować, bo u nas była ładna obora przed wojną, ładne mieliśmy bydło. Żyd pośredniczył zawsze. Chodziła z cukierkami taka Małka. Jeden taki był młody, może 15-16 lat, taki Szlamka, chodził chusteczki sprzedawał po wsi. Tak się trudnili, czym mogli. Rymarze byli, co chciały puszorki dla koni zrobić albo co, to przyjeżdżał na podwórze, jak tam była skóra z krowy i robił puszorki dla koni. Szewce też tam byli. Mechel taki był w Bełżycach, tak na okolice robił buty takie eleganckie, jak oficerskie, to wszystkie chłopaki takie buty od Mechla miały.

Bywałam często. Miałam stryjenkę taką spod Bełżyc, Jaroszyńskich, z Podola pochodziła. Jej rodzice mieli młyn na Podolu. Jak jechała, to często szliśmy z nią coś tam kupić w tych Bełżycach, bo tu sklepu nie było u nas, w Radawczyku. Jechało się i tam często widziałam na tym rynku, pełno ich tam było, chodzili, handlowali, targować się lubieli. Rozmaite po-

rozstawiane stoły mieli – a to z jabłkami, a to z tym, cokolwiek mogli, to sprzedawali. Oni byli pracowici. Małe takie wszystko, ale zawsze zaangażowane było do tej roboty.

Żydzi w Bełżycach w czasie wojny

W 1942 roku już zaczęli tych Żydów prześladować. Opowiadali, jak ich wyganiali. Podobno Niemcy przychodzili rano, wyganiali wszystkich Żydów z domu na rynek do Bełżyc. I chodził, kask miał taki i biżuterię, złoto, co kto miał [zbierał]. To nieraz pół tego kasku – tamci Polacy, co byli w Bełżycach to widzieli – nazbierał, to obiecał, że ich puści, no to ich puścił, niektórych. A później to robili tak, że jak obrobili ich tam, okradli, to wyganiali ich. A jeszcze przedtem nawieźli tam [Żydów] z Francji. Był tam taki Lejzor – na imię musi miał czy nazwisko, nie wiem, krawiec męski taki. I on szył ojcu burkę. A mnie tak wysyłali wszędzie, bo ojca nie, chłopaków nie, bo kto się tam kręcił, to na roboty wywozili do Niemiec. To mnie wysłał ojciec. Mieszkanie było tam może takie 4 na 5 metrów pokój, było dwoje tych dorosłych, i mieli trzy córki. To były dwie panienki, [i] jedna zamężna, i ten zięć szył tam. Ciasnota taka była. I później Niemcy zagarnęli to złoto, a potem jak ich ganiali na pociąg do Lublina, to do Niedrzwicy. Tam była droga – teraz jest szosa do Niedrzwicy, a kiedyś była droga. Mokra jasień była. To podobno tak strasznie ci ludzie szli, i co kto wyszedł za rów, to zaraz strzelali, nie wolno było iść. To dzieci takie pięcio-sześcioletnie, małe, to miało jaki tłumoczek, to wszystko się przewracało, to zastrzelił. A oni chodzili tak tu z karabinami, Niemcy. Oficer miał rewolwer i psa. I strzelali do nich.

Rodzina Wajsbrodtów

Żyli niektóre bardzo dobrze, zależy jak kto – jak wszędzie. Jedna – to może najbogatsza [była] – Wajsbrot się nazywała, ale była taka przesadna Żydówka, miała dwoje dzieci. I ona miała sklep, jak kiedyś się przed wojną mówiło – łokciowy, takie sprzedawała materiały ubraniowe

i to drogie. „Szlamianka" na nią mówili. Nie mówili po nazwisku. Mam wrażenie, że mężowi było Szlama. Ale on nie żył, jego nie znałam. I ten syn pracował z nią, a córka wyszła do Lublina i nazywała się Cygielman. To ona też miała taki sklep. To też ją znałam. Ona potem w wojnę przychodziła tu do nas. Miała trochę takich materiałów i przyniosła tutaj do ojca naszego. Gdzie ona tu była, to nie wiem, gdzieś nie bardzo daleko, ale przychodziła w biały dzień i tam wzięła sobie kupon jakiś materiału, czy na płaszcz, czy na co, okręciła się wkoło, opasała się paskiem, włożyła jesionkę i poszła. Matka ta nie przeżyła, ale oni przeżyli oboje, ci młodzi. Nie wiem, gdzie przeżyli. Po wojnie to ufundowali dla szpitala w Bełżycach aparat rentgenowski, duży taki. Byłam kiedyś w tym zakładzie. To na pamiątkę matki oboje kupili to dla Bełżyc, ale potem gdzieś wyjechali. Tu nie ma nikogo.

Wizyta żydowskiej rodziny Fersztman w Bełżycach w 1992 roku

Potem pojechali na kirkut. Tam w Bełżycach teraz jest Dom Kultury, plac taki, tam bożnica była. Jak ich [tam] strzelali, to wykopali jakiś dół i na stos, i na stos, i rzucali, wapnem przysypywali. Poleżało to podobno parę dni, posoka zaczęła cieknąć z tych ciał, zaczęło to się rozkładać; to dawali Niemcy takim – było kilku takich ludzi, co tam lubieli wypić, takich nie bardzo odpowiedzialnych – i na wozy, i wywozili na ten kirkut. Wcześniej to tam śmieci pełno było, puszki po piwie, bo to pijaki tam jakieś rzucały. Tak się ten Żyd [Moszek Fersztman] spłakał. Ten syn jego chciał zrobić zdjęcie. Nogę założył na mur, chciał wejść. Jeszcze gorzej się [ojciec] rozżalił, mówi: „Nie dość, że tamci to zdewastowali, to jeszcze ty idziesz?".
Teraz gmina się zainteresowała czy ktoś, i to ogrodzili takim murem.

Archiwum Teatru NN.
Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2008.
Całość relacji na stronie www.historiamowiona.tnn.pl

Gołofit Stanisław (ur. 1909 w Bełżycach)

Żydzi w Bełżycach

Nawet nazwiska niektórych Żydów pamiętam. Był taki fryzjer Jakub Kirsz, była Szandle, były takie „rabiniaki" – tak nazywali dzieci rabina.

Był taki Żydziak, który wynajmował u nas sad. Tośmy znajomość mieli z sobą. Bo w młodości, jeszcze matka jak żyła, to mieliśmy sad, a Żydzi kupowali sady na całej szerokości. Żydy prawie co dzień łaziły po wsi i aby coś sprzedać, coś kupić. Zaraz z rana przychodziły i pytały się czy jest coś do sprzedania.

Nie tylko handlem się trudnili, byli krawce, były szewce, były szklarze. Była część ich, co wiadomo było, że była bogatsza. Taka była Szlamianka, co miała sklep łokciowy tak zwany, co towar sprzedawała. To Jojniok taki, nazywali go, zboże skupował. Było paru takich bogatszych, ale przeważnie to była biedota. Smród, bród i ubóstwo, jak to powiadają. Zjadł cebulę i szedł, żeby coś kupić, coś zarobić. Chałaciki miały i krymki – takie czapeczki. A kobity tak jak i te nasze się ubierały. Specjalnie się tym nie wyróżniały. Te Żydowice to nawet stroiły się, a niektóre to i przystojne były.

Szlamianka to była wdowa. Miała dwóch synów i córkę, zdaje się. Jednego syna to Niemcy tu zastrzelili zaraz jak weszli. Znałem ich, bo często kupowaliśmy u niej, jak coś tam było do sprawienia. Bo ona miała takie lepsze towary wszystkie. To u niej było troszki droższe, ale były lepsze towary, bo były i inne sklepy łokciowe – tak samo mieli. Ale to już takie byli mniej bogate.

Były ze trzy piekarnie w Bełżycach. Taki Josie miał tam, gdzie teraz Paciejewska. Po Paciejewskim ta piekarnia jest. Polskiej piekarni nie było.

Bożnica, łaźnia

Była bóżnica wielka, ale była spalona w pierwszą wojnę. Jak Bełżyce się paliły, tak i ta bóżnica była spalona. A modlitwy swoje wykonywali w szkole. To był dom taki większy. Na szabat się tam modlili. Co dzień rano oni się tam modlili też. I potem Niemcy jak weszli tak te bóżnicę zgruzili, rozebrali.

Mieli też łaźnię. Stała tutaj, gdzie teraz taki sklep jest, jak się idzie do ośrodka zdrowia.

Szabat

W piątek szedł taki z kuloskiem takim i w każdą okiennicę przy sklepie o tak walnął i szedł dalej. W piątek tam już sklepu nikt nie otworzył. To było święto. Do soboty do wieczora. A wieczorem już otwierali. W niedziele to były pozamykane wszystkie sklepy.

Język

Żydzi posługiwali się między sobą językiem swoim, żydowskim. A tak to po polsku rozmawiali z każdym jednym. Dobrze po polsku mówili. Tak samo jak i my, tak i ony. Tak trochę zarywali tego swego, akcenty żydowskie mieli.

Archiwum Teatru NN.
Rozmawiał Tomasz Czajkowski, 2006.
Całość relacji na stronie www.historiamowiona.tnn.pl

Tablica poświęcona Annie Langfus (z d. Szternfinkiel).
Na fasadzie kamienicy, w której kiedyś mieszkała, Lublin, ul. Lubartowska 24.
Fundatorami tablicy byli Nimrod Ariav i Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".
Fot. Marcin Fedorowicz, 2008.

POWRÓT

Seweryn Aszkenazy, przyjaciel rodziny:

To, co robi Ariav Nimrod, to przez jego wielki respekt dla tradycji, dla pradziadków, dla ojca. On uważa, że musi to robić, bo jego ojciec byłby zadowolony z niego, i jego matka też byłaby dumna z tego, co on robi. To jest typowo żydowskie. Ludzie sobie nie zdają sprawy, że Żydzi – bogaci Żydzi, umierają biedni, bo oni wszystko oddają za życia. Prawie wszystko. Dzieciom się daje troszkę, żeby mogły zacząć swoje życie, a potem – to, co człowiek przez lata zarobił, oddaje przed śmiercią. Jest takie powiedzenie: „oddawać pieniądze z ciepłymi rękami" – i to jest część tego. On tutaj nie ma żadnych interesów, w ogóle nie ma żadnych innych spraw – oprócz historii, oprócz miejsca urodzenia.

Syn Nimroda Ariava, Avi:

Historia mojego ojca jest bardzo osobista. Można powiedzieć, że się z nią wychowałem, a szanując ojca, szanuję i jego historię. Ale nie mam z tego powodu koszmarów. My – młodzi –

Nimrod Ariav pod pomnikiem ofiar getta w Bełżycach.
Fot. Agnieszka Wiśniewska, 10.10.2006.

Nimrod Ariav pod pomnikiem ofiar getta w Bełżycach.
Fot. Agnieszka Wiśniewska, 10.10.2006.

staramy się patrzeć na to bardziej pozytywnie. Przyjeżdżając na cmentarz bełżycki, zdaliśmy sobie sprawę, że w Warszawie też można robić interesy. Tak przeszłość zaowocowała w przyszłości. Dzieci wróciły i pracują w Polsce, tak jak by pracował – być może – ojciec, gdyby to wszystko się nie wydarzyło. Żydzi mawiają: „Jeśli zapomnę Jerozolimę, niech mi uschnie prawa ręka!". Myślę, że część Żydów tak samo mocno związana była kiedyś z kulturą polską. Po tym, jak odeszli, pozostała pustka... Może Polacy nie odczuwają potrzeby jej zapełnienia, jestem jednak przekonany, że do kultury i do codziennego życia każda mniejszość dodaje swój smak, swoją tradycję. Życie staje się ciekawsze, gdy jest różnorodne. Jest więc chyba ważne, abyśmy my wrócili tutaj, bo wtedy wy odzyskalibyście część swojej duszy.

Przyjaciele Nimroda Ariava:

Elsa Mercoy:

Nazywam się Elsa Mercoy, jestem przyjaciółką rodziny, a to jest mój mąż – Mundrzi – prowadzi razem z Ariawem interesy.

Mundrzi Mercoy:

Jestem Turkiem, i to też jest część mojej historii. Przecież Hitler, myśląc o zagładzie Żydów, wspominał, że nikt już nie pamięta zbrodni dokonanej na Ormianach w Imperium Otomańskim. Historia jest więc wspólna. Na początku, przyjazd tutaj to była smutna okazja, teraz jest raczej wesoło – można spotkać znajomych, poznać nowych ludzi. Jestem muzułmaninem.

Elsa Mercoy:

Ja jestem chrześcijanką, a Ariav jest Żydem, ale jesteśmy przyjaciółmi. To bardzo dobry człowiek. Ma dobre serce. Lubi dzielić się z rodziną, z przyjaciółmi i z krajem, z którego pochodzi. Tu są jego korzenie.

Mundrzi Mercoy:
Nazwałbym go wzorem do naśladowania dla młodego pokolenia.

Nimrod Ariav o kirkucie bełżyckim:
Tu były tylko drzewa, żadnej macewy, nic. To był plac zabaw dla dzieci, a w piątki odbywały się „świńskie" targi. I tak zacząłem drogę przez mękę, żeby odzyskać ten teren. Najpierw uzyskałem papier zabraniający zabudowy tego terenu. W ciągu kolejnego roku dostałem inne pozwolenia i zaczęła się budowa. To bardzo prosta rzecz – nie chciałem naruszać otoczenia. Przez czternaście lat wszystko było w porządku, ale w tym roku wandale wyrwali brązowe litery. Te, które są teraz, są z kamienia i mam nadzieję, że już tu pozostaną. Niech ci ludzie leżą w końcu w spokoju. Ten kamień jest dla wszystkich tu pogrzebanych. Nie wyszczególniłem mojego ojca – to nie jest moje miejsce. Ja tylko pomagałem je odbudować. Każdy tu może wejść...

Fragmenty z reportażu Agnieszki Czyżewskiej-Jacquemet:
Powrót, Radio Lublin 2003

BIBLIOGRAFIA

Materiały na temat Ariava Nimroda:

Artykuły prasowe:

Tu krzyczy cisza... „Dziennik Wschodni", 06.10.2004

Józefczuk Grzegorz, *Ja, Ariaw od kirkutu*, „Gazeta w Lublinie", 5.10.2004

Józefczuk, Grzegorz, *Mówiłem po polsku i wyglądałem jak Polak*, „Gazeta w Lublinie", 13.02.2006

Józefczuk Grzegorz, *Warszawa drugim domem*, „Gazeta w Lublinie", 14.02.2006

Kolesiewicz Maria, *Pamiętają o Bełżycach*, „Dziennik Wschodni", 11.10.2006

Buczkowski Paweł, *Bądź człowiekiem*, „Dziennik Wschodni", 15.02.2006

Materiały audiowizualne:

Ariav Nimrod – Bełżyce 1990 r. – materiał filmowy Telewizji Lublin, 1990

Powrót – reportaż radiowy Agnieszki Czyżewskiej-Jacquemet, Radio Lublin 2003

Bełżyce. Relacja z Kirkutu. Ariav Zigi – film dokumentalny Mariana Turskiego, 2004

Internet:

www.ariavnimrod.tnn.pl

Materiały na temat Żydów w Bełżycach:

Monografie, artykuły:

Jadczak Stanisław, *Żydzi w Bełżycach* [w:] *Bełżyce. Monografia miasta i gminy*, Bełżyce 2002

Jadczak Stanisław, *Dawny cmentarz żydowski* [w:] *Bełżyce. Monografia miasta i gminy*, Lublin–Terespol 2002

Kopciowski Adam, *Dzieje Żydów bełżyckich* [w:] *Studia z dziejów Bełżyc*, Lublin-Terespol 2006

Sprawiedliwi wśród Narodów Świata, red. Dąbrowska Anna, *Relacje*, Lublin 2008, wyd. Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN"

Internet:

www.historiamowiona.tnn.pl – relacje mówione dotyczące Żydów w Bełżycach